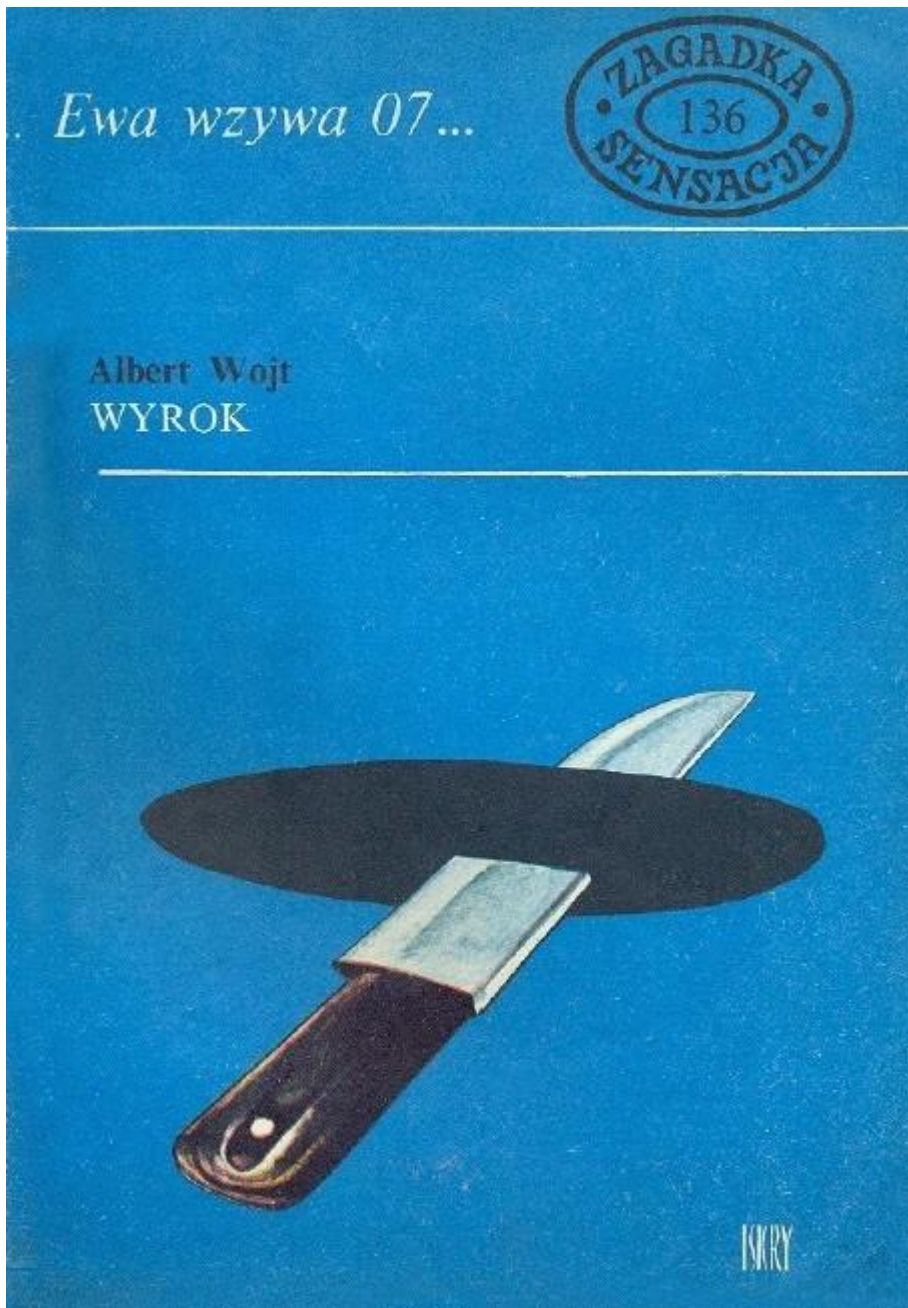


*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

# Albert Wojt Wyrok

---



# I

---

Porucznik Michał Mazurek po raz któryś z kolei zerknął na zegarek. Dochodziła dopiero północ i koniec służby wydawał się czymś tak odległym, że oficer wolał nie liczyć godzin, które musiał jeszcze przesiedzieć w komendzie. Prawdę powiedziawszy bardzo nie lubił nocnych dyżurów. Gdyby chociaż koledzy z „prewencji” dostarczyli do milicyjnego aresztu jakąś „grubą rybę” z dzielnicowego półświatka, czas upłynąłby znacznie szybciej. Tej jednak nocy mimo pełni lata panował nu Żoliborzu wyjątkowy spokój, a zatłoczone zwykle cele świeciły pustką.

Mazurek ziewnął, schował do szuflady biurka przejrzaną już kilkakrotnie gazetę i ciężko podniósł się z krzesła. W braku lepszego pomysłu postanowił zajrzeć do pokoju oficera dyżurnego. Z przyzwyczajenia zamknął drzwi na klucz, szybko przemierzył niezbyt długi korytarz i chwilę później był już na miejscu. W środku oprócz kapitana Nalewaka siedzieli sierżant Kuligowski i kapral Sędzisz.

O tej porze wizyta załogi radiowozu w komendzie nie wróżyła nic dobrego. Cała trójka miała mocno skwaszone miny. Porucznik domyślił się więc, że sierpniowa noc nie jest tak spokojna, jak na to wyglądało.

— Coś was ugryzło? — zagadnął ciekawie. — Czyżby ktoś wam spletał brzydkiego psikusa?

— Owszem — odburknął z wyraźną niechęcią oficer dyżurny. — Jakaś łachudra obrobiła sklep z materiałami przy Krasieńskiego.

— Nie gadaj? — Mazurek z niedowierzaniem pokręcił głową. — Jak żyję nic pamiętam, żeby ktoś włamywał się do tego sklepu. Żeby jeszcze podwędzili gotowe fatalaszki... Ale po diabła koniu materiały?

— Paserowi wszystko można opylić — westchnął Nalewak. — A zresztą nie w tym problem. Gorzej, że chłopaki nie mają zielonego pojęcia, czyja to sprawa. Komendant będzie wściekły

— Cholerny pech! — wtrącił się Kuligowski. — Godzinę (emu sklep był w porządku. Gdybyśmy przejeżdżali Krasieńskiego kilka minut po dwudziestej trzeciej, drapnęlibyśmy ptaszka na gorącym uczynku.

— A teraz szukaj wiatru w polu — wpadł mu w ton porucznik.

— Na to wygląda — przyznał sierżant ponuro. — Wystrychnął nas łobuz na dudka, ale jeszcze trafi kosa na kamień! — w nagłym przypływie energii poderwał się z miejsca. — Wracamy, Janek, do gabloty — skinął na Sędzisz. — Pojeździmy trochę po Żoliborzu, to może coś się wyjaśni.

Kapral bez sprzeciwu ruszył do wyjścia, zanim jednak funkcjonariusze zdążyli opuścić pokój, na biurku oficera dyżurnego rozdzwonił się telefon. Kapitan machinalnie sięgnął po słuchawkę, ale w ostatniej chwili zdecydował, że lepiej włączyć głośnik. O tej porze mógł się spodziewać tylko prośby o interwencję, nie było więc sensu powtarzać później wszystkiego kolegom.

— Na Niegolewskiego, naprzeciwko ogródka Jordanowskiego, jest jakaś poważna awantura — usłyszeli głos starszego zapewne mężczyzny. — Byłem właśnie na spacerze z psem i na własne oczy widziałem, jak chuligani okładali się pięściami. Może panowie przemówicie im do rozsądku, bo strach tamtędy przechodzić.

— Gdzie się biją? — przerwał Nalewak, wprawnym ruchem otwierając leżący na biurku notatnik. — Ilu ich jest?

— Przecież mówię, że na Niegolewskiego, — powtórzył tamten skwapliwie. — Widzieliśmy z sąsiadem dwóch, ale nie daję głowy, czy nic było ich więcej.

— Pańskie personalia?

— Nie rozumiem?...

— Proszę podać swoje nazwisko i skąd pan telefonuje.

— Dzwonię od siebie z domu. — w głosie mężczyzny zabrzmiała widoczna uraza. — Jestem zbyt poważnym człowiekiem, żeby robić milicji kawały — dorzucił gniewnie. — Zresztą łatwo możecie wszystko sprawdzić. Mieszkam w alei Wojska Polskiego róg Stołecznej.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki i w pokoju na moment zapanowała cisza.

— Facet nie podał jednak swego nazwiska... — sceptycznie zauważył Mazurek.

— Lepiej sprawdzić — powiedział Nalewak. Gość mógł się nadziać na jakąś drakę w melinie „Królewicza” i podniósł raban. Zresztą Niegolewskiego jest blisko tego sklepu z materiałami...

— Znaczy, że mamy jechać? — upewnił się Kuligowski.

— Jasne.

— To i ja rozprostuje kości — zaproponował porucznik. — Może przyjdzie mi coś mądrego do głowy, kiedy rzucę okiem na ten sklep.

— Czemu nic — bez wahania zgodził się kapitan. — W komendzie na razie nic po tobie, a na sprawach o włamania zęby zjadłeś. Poza tym we trzech łatwiej wam pójdzie interwencja, gdyby rzeczywiście coś się lam działo.

Niespełna piętnaście minut później Kuligowski zatrzymał radiowóz na ulicy Niegolewskiego. Wbrew zapewnieniom telefonującego dookoła nic było widać żywej duszy. Mazurek zaklął pod nosem i właśnie miał zamiar zaproponować sierżantowi, żeby pojechali dalej, kiedy nagle coś go tknęło. Pomyślał, że nie zawadzi przespacerować się na tyły domu i zajrzeć przez okno do mieszkania Królewicza.

Wysiedli z samochodu. Kuligowski i Sędzisz zostali na Niegolewskiego, a porucznik bez zbytecznego pośpiechu przedostał się na spore, gęsto zarośnięte krzakami podwórko. Tutaj również panowała kompletna cisza, ale pod samym domem bystre oczy oficera dostrzegły czyjąś skuloną sylwetkę. Mazurek bez zastanowienia sięgnął po latarkę i skierował w tamtą stronę snop światła.

Przez moment mignęły mu znoszone dzinsy i kraciasta koszula, ale ubrany w nie wysoki, barczysty chłopak najwyraźniej nic życzył sobie spotkania z milicjantem. Jak burza ruszył w kierunku parkanu oddzielającego podwórko od sąsiedniej ulicy, tratując po drodze żywopłot i mizerny klombik.

Porucznik nie wahał się ani chwili. Pomimo swoich czterdziestu lat potrafił biegać szybko, liczył więc, że i tym razem bez niczyjej pomocy dopadnie uciekiniera. Szczęście zdawało mu się zresztą sprzyjać, jako że tamten zaraz po kilku krokach zawadził o coś nogą i upadł. W prawdzie prawie natychmiast udało mu się poderwać z ziemi, ale dzielący ich dystans stopniał do paru metrów.

Chłopak dobiegł do ogrodzenia i pokonał je jednym susem. Oficer dobrze wiedział, że ten moment może zadecydować o całym pościgu. Postarał się, aby skok wykonać jak najprecyzyjniej, a i lądowanie wypadło niczym przed dwudziestu laty. w milicyjnej szkole. Jeszcze jeden wysiłek i po kilku krokach chwycił uciekiniera za ramię. Nie bez satysfakcji pomyślał, że trwało to znacznie krócej, niż mógłby przypuszczać, kiedy nagle potężny cios w żołądek odrzucił go z powrotem na siatkę.

Mazurek był do tego stopnia zaskoczony nie spodziewanym atakiem, że w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co się właściwie stało. Odruchowo podniósł ręce, aby powstrzymać dalsze uderzenia. Niemal równocześnie poczuł silne kopnięcie w podbrzusze i bezwładnie osunął się na kolana. W płucach zabrakło mu powietrza. Nie był w stanie nawet sięgnąć po gwizdek, żeby wezwać na pomoc czekających przy radiowozie kolegów.

Chłopak parsknął głupkowskim, niepohamowanym śmiechem i przymierzył się do kolejnego kopnięcia. Na szczęście Mazurek spostrzegł to w porę i rozpaczliwie szarpnął cały tułów w lewo. But napastnika zawadził wprawdzie o policzek, ale cios nie dosięgnął celu. a co ważniejsze chłopak stracił równowagę. Porucznik chwycił go za piętę i ostatkiem sił pociągnął ku sobie. Tamten gwałtownie zamachał rękami i runął na chodnik.

Dwie lub trzy sekundy, które upłynęły nim napastnik zdołał się podnieść, pozwoliły oficerowi na złapanie oddechu. Wstał z klęczek, na wszelki jednak wypadek wołał jeszcze nie odchodzić od siatki. Sprowokowany tym chłopak bez zastanowienia ponowił atak. Podskoczył do milicjanta usiłując trafić go pięścią w szczękę, ale tym razem Mazurek zdążył się skoncentrować. Zrobił głęboki, choć trochę niezdarny unik, a widząc, że tamten próbuje wyprowadzić kolejny cios, z całej siły uderzył go kantem dłoni w kark.

Napastnik na moment zeszywniał z bólu, a w jego oczach pojawił się strach. Z niedowierzaniem popatrzył na Mazurka, nie mogąc widać zrozumieć, jakim cudem jest on znowu zdolny do walki, choć jeszcze przed chwilą ledwo trzymał się na nogach. Bluznął jakimś przekleństwem i chciał właśnie odskoczyć o kilka kroków, kiedy porucznik trafił po pięścią w nos. Cios nie był zbyt mocny, chłopak uznał jednak, że na wszelki wypadek lepiej wziąć nogi za pas. Rzucił się do ucieczki.

Tym razem oficer nie ryzykował już samotnego pościgu. Sięgnął do kieszeni i w promieniu kilkuset metrów rozległ się świdrujący uszy dźwięk milicyjnego gwizdka.

Mazurek ruszył dość ociężale za uciekinierem. Obliczał właśnie w duchu, ile czasu będą potrzebowali Kuligowski i Sędzisz, żeby skutecznie włączyć się do akcji, kiedy nagle na rogu ulicy spostrzegł w świetle latarni jakiegoś mężczyznę, prowadzącego na smyczy dorodnego owczarka. Mężczyzna musiał natychmiast zorientować się w sytuacji, bo bez zastanowienia sięgnął do psiej obroży. Nie minęło nawet dziesięć sekund i chłopak rozpaczliwie zajęczał, powalony na ziemię przez najmniej spodziewanego przeciwnika.

Mazurek odetchnął. Teraz już ani on, ani jego koledzy nie musieli się śpieszyć. Wyciągnął z kieszeni kajdanki i wolnym krokiem podszedł do unieszkodliwionego napastnika. Na ulicy rozległ się właśnie tupot biegnącego Sędzisa. a prawie równocześnie z przeciwnej strony nadjechał radiowóz Kuligowskiego. oślepiając wszystkich długimi światłami.

—Chociaż raz znalazł się ktoś szybszy od milicji! — na widok spóźnionej odsieczy właściciel psa parsknął dobrodusznym śmiechem. Mam nadzieję, że mój podopieczny dostanie od panów nagrodę w postaci pęta kiełbasy albo przynajmniej jakiejś smakowitej kości... Atos. zostaw! — zawołał stanowczym tonem. — Spisałeś się na medal, ale teraz kolej na panów w mundurach.

Pies niechętnie odstąpił swoją zdobycz. Na wszelki wypadek stanął tuż obok i ostrzegawczo powarkując zerknął spode łba, czy przypadkiem jego interwencja nie okaże się znowu konieczna. Pochwycony chło-

pak wolał jednak nie ryzykować ponownego starcia z wilczurem. Bez sprzeciwu pozwolił założyć sobie kajdanki i wsiadł do radiowozu.

Dopiero teraz porucznik mógł się dokładniej przyjrzeć właścicielowi psa. Był to rosty, blisko pięćdziesięcioletni brunet o włosach mocno przyprószonych siwizną. Jak na swój wiek poruszał się wyjątkowo sprężysto, a sylwetki mogło mu pozazdrościć wielu znacznie młodszych.

— Zygmunt Rupućko jestem — przedstawił się, czując na sobie badawczy wzrok oficera. — Miło mi, że mój Atos mógł się na coś przydać...

— Ogromnie panu dziękuję za pomoc — Mazurek z niekłamana wdzięcznością uścisnął mężczyźnie rękę. — Zaoszczędził pan nam wielu kłopotów. A swoją drogą można panu pozazdrościć tak świetnie ułożonego pieska!

— Mieszkamy tylko we dwóch, więc kiedy wracam z pracy, jest dość czasu na trening — odparł Rupućko z prostotą. — Zresztą cierpię na bezsenność i zwykle po północy spaceruję po Żoliborzu, muszę więc mieć kompana, który obroniłby mnie przed zaczepkami chuliganów.

— Szczęśliwym trafem wybrał się pan dzisiaj właśnie w tę okolicę.

— Prawdę powiedziawszy to moja stała trasa. Każdego wieczoru przechodzę tędy przynajmniej ze dwa razy.

— I często spotykają pana podobne atrakcje?

— Nie dalej, jak pół godziny temu na Niegolewskiego dwóch bandziorów okładało się pięściami — stwierdził mężczyzna. — Wyglądało, że koniecznie chcą połamać sobie kości...

— Czyżby jednego z nich unieszkodliwił przed chwilą pański piesek? — podchwycił porucznik.

— Głowy nie daję, ale tego ptaszka chyba nigdy dotąd nie widziałem... Zresztą mogę się mylić. — Rupućko bezradnie rozłożył ręce. — Było ciemno, a ja nie miałem ochoty oglądać z bliska twarzy tamtych awanturników... Dla pewności radziłbym panom zapytać jeszcze Romana Borowicza.

— Kogo?

— Wieczne spacerowanie z psami sprzyja zawieraniu znajomości — wyjaśnił Rupućko z uśmiechem. — Roman Borowicz jest właścicielem pięknego dobermana i mieszka po sąsiedzku, w alei Wojska Polskiego, często więc dotrzymujemy sobie towarzystwa podczas wędrówek po Żoliborzu.

— Jutro trzeba mu będzie złożyć wizytę.

— Jak go znam — chętnie panom pomoże. Tak go rozzłościła ta bijatyka, że miał nawet zamiar telefonować do komendy...

...Teraz jest już przynajmniej jasne, kto dał nam znać o awanturze — pomyślał oficer, wyciągając rękę na pożegnanie. — Gorzej tylko że nie wiadomo, czy przyskrzyniliśmy właściwego łobuza."

Rupućko podał swój adres, obiecał zgłosić się do komendy na każde wezwanie i ruszył w swoją drogę, a Mazurek wrócił do radiowozu. Kuligowski i Sędzisz usiłowali właśnie dowiedzieć się czegoś od zatrzymanego, ten jednak najwyraźniej nie był skory do rozmowy. Na każde pytanie wruszał tylko ramionami.

— Synek twierdzi, że jest czysty jak kryształ? — domyślił się porucznik, widząc skwaszone miny kolegów. — Od urodzenia niczego nie przeszkobał, a my czepiamy się go bez najmniejszego powodu?

— To mój stary znajomy, Zenek Maślicki — rzeczowo odparł sierżant. — W zeszłym roku nakryłem go, jak z kolesiami obrabiał kiosk koło teatru „Komedia”. Nygus dostał wyrok, ale jakoś wywinął się od odsiadki.

— Teraz mu się nie uda — zapowiedział oficer złowrogo. — Tak mi przyłożył, że mało ducha nie wyzionąłem.

— Ja nie chciałem! — bąknął zatrzymany. — Nastraszył mnie pan i nie wiedziałem, co robię... Jak Boga...

— Taki bajer możesz wstawiać babci klozetowej! — rzucił—ze złością Mazurek. — Gadaj. cożeś zmalował! — nieoczekiwanie podniósł głos. — Dlaczego pryskałeś, kiedy nakryłem cię na tamtym podwórku?!

— Przypiliło mnie — jęknął Maślicki. — Poszedłem za potrzebą, a tu zjawił się pan władza...

— Nie łzyj! Nie lubię głupich żartów!

— Jak Boga Kocham!

— Lepiej mnie nie denerwuj! — krzyknął porucznik ostrzegawczo. — Gadaj prawdę!

Na moment w radiowozie zapanowało milczenie. W gruncie rzeczy ani oficer, ani jego koledzy nie bardzo wiedzieli, o co pytać zatrzymanego, a ten nie kwapił się do szczerych wynurzeń, spoglądając tylko spode łba na funkcjonariuszy.

— Popilnuj go. Janek — zdecydował w końcu Mazurek, zwracając się do Sędziszka. — My z Pawłem zajrzemy jeszcze raz na tamto podwórko.

Kuligowski ochoczo ruszył za porucznikiem. Przyświecając sobie latarkami pobieżnie spenetrowali podwórko. Bez specjalnego trudu znaleźli miejsce, w którym Maślicki usiłował ukryć się przed oficerem, ale nie było tu nic ciekawego.

— Szkoda naszej fatygi — z nieukrywanym zawodem mruknął sierżant. — Drań zamierzał pewno obrobić jakieś mieszkanie i czekał właśnie na stosowny moment, kiedy go przepłoszyłeś.

— Diabli go wiedzą — westchnął Mazurek. — Ciekawe tylko, dlaczego wybrał sobie punkt obserwacyjny akurat pod samym oknem chałupy Królewicza?

— Trzeba było Nygusa zapytać...

Ostatnią uwagę Kuligowskiego porucznik pominął milczeniem.

Kilka metrów dalej czerniały wąskie schodki prowadzące wprost z podwórka do wejścia do piwnicy. Oficer ruszył w tamtym kierunku i nie bez zdziwienia spostrzegł w świetle latarki, że niskie, masywne drzwi są uchylone. Bez pośpiechu zszedł na dół i zajrzał do piwnicy. Nie zauważył niczego podejrzanego, ale na wszelki wypadek postanowił wejść do środka. Minął krótki, ciasny korytarzyk, skręcił w prawo i znalazł się przy schodach prowadzących do wnętrza domu. Chciał już wracać, kiedy nagle wydało mu się, że we wnęce tuż przy schodach ktoś leży. Skierował tam światło latarki i nagle poczuł na plecach zimny dreszcz. Zbyt wiele zwłok widział w swojej milicyjnej karierze, żeby mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Rdzawe plamy na koszuli wciśniętego we wnękę mężczyzny świadczyły wymownie, jaki spotkał go los.

Mazurek zaklął pod nosem i pochylił się nad leżącym. Przy latarce nie był w stanie obejrzeć go dokładnie, zauważył tylko, że tamten nie mógł mieć więcej, niż trzydzieści lat. Jego szerokie bary wzrost i potężnie umięśnione ręce musiały za życia budzić respekt.

Odruchowo dotknął przegubu mężczyzny i stwierdził, że ciało nic zdążyło jeszcze ostygnąć. „Czyżby to była sprawka Maślickiego?” — pomyślał z niedowierzaniem. W tylnej kieszeni spodni leżącego tkwił portfel. Oficer bez wahania sięgnął po niego i pobieżnie zaczął przeglądać zawartość. Trzymał właśnie w ręku dowód osobisty, kiedy w piwnicy zadudnił zniecierpliwiony głos Kuligowskiego:

Jak długo masz jeszcze zamiar siedzieć w tej śmierdzącej norze? Osobiście znam znacznie przyjemniejsze miejsca!

— Niewykluczone, że obaj będziemy tutaj nocować! — odburknął Mazurek. — Tymczasem leć do radiowozu i daj znać Nalewakowi, że przed chwilą znalazłem trupa. Niech przyśle ekipę.

— Jasna cholera! — zaklął Kuligowski. — Kogo kropnęli?

— Facet miał przy sobie dowód wystawiony na Adama Waleniaka.

— Nigdy o takim nie słyszałem.

— A mnie to nazwisko obilo się już kiedyś o uszy. Nie pamiętam tylko, przy jakiej okazji.

— Znaczy, że to ktoś z „branży”?

— Najprawdopodobniej...

Sierżant o nic więcej nie pytał, doskonale zdając sobie sprawę, że teraz może się liczyć każda minuta i biegiem ruszył w kierunku wyjścia.

Porucznik znowu został sam. Baczenie rozejrzał się dookoła. Na ścianie przy schodach zauważył kontakt. Przekręcił go. Wprawdzie oblepiona brudem żarówka nie dawała zbyt wiele światła, ale i tak można było teraz dostrzec więcej szczegółów. Oficer zerknął w górę, w stronę drzwi prowadzących do wnętrza domu. Postanowił sprawdzić, czy są zamknięte na klucz, ledwo jednak stanął na pierwszym stopniu, zauważył na schodach podobne plamy, jak na koszuli Walenika. Jeszcze raz spojrzął na zwłoki i dopiero teraz zwrócił uwagę, że leżą one na boku, nienaturalnie wygięte w kabłąk, jak gdyby ktoś umyślnie wcisnął je we wnękę.

— Takie buty! — mruknął do siebie Mazurek. — Czyżby faceta załatwili na górze, a dopiero potem przenieśli do piwnicy?

Ostrożnie, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów, ruszył po schodach.

Tak jak przypuszczał, drzwi nie były zamknięte. Wyszedł na brudną, odrapaną klatkę schodową i niejako automatycznie skierował się do mieszkania Królewicza. Nie bacząc na mocno spóźnioną porę energicznie zapukał. Niestety nie wywołało to żadnej reakcji lokatorów. Ponowił pukanie i przez dłuższą chwilę nasłuchiwał uważnie, ale wewnątrz nadal panowała kompletna cisza. Na wszelki wypadek nacisnął jeszcze klamkę i aż zagwizdał ze zdumienia. Drzwi ustąpiły bez żadnego oporu.

Po krótkim wahaniu przestąpił próg i namacał włącznik. Przekręcił go. Jego oczom ukazał się postrzępiony parawan przedzielający pokój stanowiący mieszkanie Królewicza. Oficer zrobił kilka kroków i zajrzał za parawan. Gospodarz leżał nieprzytomny na podłodze, z głową opartą o przewrócone krzesło. Walające się wszędzie puste butelki po wódce i stęchłe opary alkoholu wiszące w powietrzu świadczyły wymownie,

że niedawno miała tu miejsce pijacka libacja. Pozostali jej uczestnicy zdążyli się widać rozejść, bo w pokoju oprócz Królewicza nie było nikogo.

Milicjant chwycił gospodarza pod ramiona i wwindował go na stojącą obok szeroką kanapę. Tamten tylko wymamrota! coś bez specjalnego sensu, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, co się z nim dzieje. W takim stanie trudno byłoby nawet marzyć, żeby Królewicz odpowiedział choćby na najprostsze pytanie. zniechęcony Mazurek machnął więc ręką i zamknął za sobą drzwi.

Na klatce schodowej natknął się na Kuligowskiego.

— Chłopaki właśnie przyjechali — oznajmił sierżant radośnie. — Zaraz będzie ruch w interesie.

Mazurek zajrzał do piwnicy. Przy zwłokach Walenika faktycznie krzątało się już kilka osób. Dyrygował nimi barczysty, wąsaty chorąży. Na jego widok porucznik ucieszył się. Dobrze wiedział, że na Wcisławskim można polegać. Chciał właśnie do niego podejść, żeby omówić szczegóły swego odkrycia, kiedy nagle za plecami usłyszał ciche skrzypnięcie. Zerknął przez ramię i spostrzegł, że drzwi naprzeciwko wejścia do piwnicy uchyliły się i przez szparę wyglądała na klatkę schodową niewysoka pomarszczona staruszka we wzorzystym szlafroku.

— Dobry wieczór pani! — oficer uklonił się. — Skoro pani nie śpi, to może porozmawialibyśmy minutkę?

Zmierzyła go nieufnym spojrzeniem, ale po chwili wahania skinęła głową.

— Proszę, niech pan wejdzie — otworzyła szerzej drzwi. — Dla mnie każda pora jest dobra.

Skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Miał nadzieję dowiedzieć się czegoś o wydarzeniach dzisiejszej nocy. Mieszkania Królewicza i staruszki nie tylko sąsiadowały ze sobą, ale kiedyś musiały stanowić jedną całość, o czym świadczyły choćby zabite obecnie gwoździami wewnętrzne drzwi.

— Nie zazdroszczę pani — spróbował sprowokować kobietę, ledwo usadowiła go na starym, zdezelowanym foteliku. — Pan Królewicz nie jest zdaje się spokojnym sąsiadem.

— Szkoda, że nigdy nie zamkniecie go na dłużej! — podchwyciła z nie tajonym oburzeniem. — Obraza boska, co on tu wyprawia. Nie ma dnia, żeby nie zaprosił do siebie takich samych jak i on łapserdaków. Całe noce oka zmrużyć nie można.

— Nic słyszała pani. żeby za ścianą dochodziło do jakichś poważniejszych awantur, czy rękoczynów?

— A bo to raz? — ściszyła głos. — Czasem aż człowiekowi strach nosa wyściubić, kiedy łobuzy urządzają jatki na klatce schodowej.

— Dzisiaj też się bili?

— Jeszcze jak! Najpierw wyzywali się tak, że wstyd powtórzyć, krzyczeli, że jeden drugiemu gardło poderżnie, a potem skoczyli sobie do oczu.

— Widziała pani?

— Widzieć to nie widziałam — przyznała z widocznym żalem. — Moje okna wychodzą na podwórko, a oni bili się na ulicy i na klatce schodowej. Prawdę powiedziawszy miałam ochotę wyrzeć przez drzwi, ale tak klęli i wrzeszczeli, że nie starczyło mi odwagi.

— O której miała miejsce ta awantura?



— Przed północą. Chyba przez dobre pół godziny nie mogli się uspokoić.

— I co dalej?

— Oczekałam jeszcze kwadrans i uchyliłam drzwi, ale na klatce schodowej nie było już nikogo. U sąsiada też jakoś ucichło, a na ulicę wołałam nie wyglądać. Wróciłam do łóżka i dopiero przed chwilą usłyszałam nowe hałasy.

— Poznała pani po głosie, kto brał udział w awanturze?

— Ja tam zawsze wołałam trzymać się z daleka od takich bandytów — zaprzeczyła z godnością. — A po pijanemu każdy z nich tak samo bełkocze. A co się właściwie stało?

— Nic takiego — porucznik uznał, że na razie lepiej nie wtajemniczać rozmówcy w faktyczne powody swojej wizyty. — Kolejna typowa bijatyka. Nie będę już dłużej pani przeszkadzać — uklonił się na pożegnanie. — Dziękuję za informacje i życzę spokojnej nocy.

Zanim staruszka zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, oficer był już na klatce schodowej. Minął jednego z funkcjonariuszy badającego uważnie podłogę i szedł do piwnicy. Na najniższym stopniu siedział właśnie ziewający niemiłosiernie Wcisławki.

— Serwus. Andrzej! — Mazurek skinął mu przyjaźnie na powitanie. — Cóżeś zwojował?

— Na mój gust to typowa pijacka rozróżba odparł chorąży z przekonaniem. — Nieboszczyk jest zdrowo poobijany, ktoś dogodził mu też nożem w plecy. Na temat szczegółów muszą wypowiedzieć się lekarze, w każdym jednak razie musiało sikać z biedaka jak z fontanny, bo ślady krwi znaleźliśmy na schodach, a nawet przy wyjściu na ulicę.

— Innymi słowy do tragedii musiało dojść tam. na górze, a dopiero później denat znalazł się w piwnicy.

— Niewykluczone.

— Wziąłeś próbki do laboratorium?

— Jasne! Aha! — przypomniał sobie jeszcze. — Mam dla ciebie niespodziankę... — sięgnął do leżącej na schodach pękatej teczki i wyciągnął z niej plastikową torebkę. W środku była niewielka, kieszonkowa latarka. — Znaleźliśmy ten drobiazg dosłownie półtora metra od zwłok Walenika — poinformował porucznika rzeczowo. — Oczywiście latarkę mógł zostawić tutaj przypadkiem któryś z lokatorów, ale równie dobrze mogła ona należeć i do zabójcy.

— Albo do samego Walenika...

— To już jest zmartwienie dla speców od daktyloskopii.

— Pod warunkiem, że właściciel latarki był uprzejmy zostawić na niej odciski swoich palców.

Oficer postanowił wyjrzieć jeszcze raz na podwórko. Bez pośpiechu ruszył piwnicznym korytarzem. Po obu jego stronach ciągnęły się niewielkie komórki, zabezpieczone sprawiającymi niezbyt solidne wrażenie drzwiami. Przy każdym wymalowano czarną farbą na murze numer mieszkania. Jedna z komórek przy samym końcu korytarza nie miała, żadnego numeru. Poza tym nie różniła się niczym od pozostałych i pewno Mazurek nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie zauważył klucza tkwiącego w zawieszanej przy skoblu kłódce.

—Złodzieje tylko czekają na taką okazję! — pomyślał porucznik ze złością. — Że też niektórzy ludzie nie mają za grosz wyobraźni!"

Tej nocy czekało go jeszcze sporo pracy i w pierwszym odruchu zamierzał zostawić komórkę własnemu losowi, w ostatniej jednak chwili postanowił zajrzeć, czy już przypadkiem ktoś nie skorzystał z niedbalstwa właściciela. Otworzył furtkę i aż zagwizdał ze zdumienia. W środku pod ścianą stały dwa tranzystorowe magnetofony, niewielki, turystyczny telewizorek i spora, porządnie wypchana waliza.

„Chyba zbyt wiele wrażeń, jak na jedną noc! — pokiwał w zadumie głową. — Najpierw bijatyka z Maślickim, potem trup Walenika, a w końcu złodziejska melina pełna fantów..."

## II

---

— Przyczyna zgonu jest jasna — oznajmił z przekonaniem tęgi, brodaty lekarz odkładając skalpel na znak, że trwająca od blisko dwóch godzin sekcja dobiegła końca. — Cios zadany od tyłu ostrym, dość wąskim narzędziem dosięgnął aorty. W tej sytuacji Walenik nie miał najmniejszej szansy przeżycia.

— Jak szybko nastąpił zgon?

— Niemal natychmiast.

— Mniej więcej o której?

— Między dwudziestą trzecią a zero trzydzieści.

— A co pan może powiedzieć o pozostałych obrażeniach denata?

— Mają drugorzędne znaczenie.

— Nawet rana na głowie?

— Jest dość powierzchowna. Cios mógł najwyżej zamroczyć Walenika na krótką chwilę, ale na pewno nie był groźny dla jego życia.

— To by nawet pasowało — głośno myślał Mazurek. — Zabójca najpierw ogłuszył swoją ofiarę, a potem dźgnął nożem.

— Zupełnie możliwe — przytaknął doktor. — Uderzenie w głowę zadano z przodu, najprawdopodobniej jakąś pałką albo rurką. Identyczne obrażenia znajdują się na przedramionach i klatce piersiowej denata. Dodawszy do tego otarcia naskórka na jego palcach można by przyjąć bez większego ryzyka pomyłki, że Walenik przed śmiercią stoczył z kimś walkę. Oczywiście gołe pięści to niewiele, jeśli przeciwnik jest uzbrojony.

— Facet musiał nosić przy sobie cały arsenał — podchwycił porucznik. — Wiemy, że używał pałki i noża. a przecież wcale nie jest powiedziane, czy nie miał jeszcze czegoś w zanadrzu.

— Złapanie zabójcy i ustalenie bliższych okoliczności zbrodni to już pańskie zadanie — lekarz bezradnie rozłożył ręce. — Ja mogę jedynie interpretować obraz sekcyjny.

— W takim razie może mi pan wyjaśnić, skąd wzięły się te pręgi na plecach denata. Czyżby ktoś go kopał albo okładał pałką również, i od tyłu?

— Ależ skąd! — żywo zaprzeczył doktor. — To nie są obrażenia przyżyciowe.

— A jakie?

— Ciało musiało być przemieszczane po śmierci. Na przykład ktoś mógł je ciągnąć po schodach...

— Prawdę powiedziawszy podejrzewamy, że tak było — oficer z zadowoleniem zatarł ręce. — Gdyby mi pan jeszcze powiedział, ile Walenik wypił ostatniej nocy, byłbym już w pełni usatysfakcjonowany.

— Proszę chwileczkę poczekać, postaram się zaspokoić pańską ciekawość — obiecał lekarz. — Mam nadzieję, że w naszym laboratorium zakończyli już badania krwi denata.

Mazurek posłusznie usiadł na niezbyt wygodnym krześle w sąsiadującym z salą sekcyjną gabinecie lekarskim. Nawet nie usiłował tłumić ziewania. Przez całą noc nic zmrużył oka i teraz głowa ciążyła mu ze zmęczenia. Mimo to nie żałował jednak czasu spędzonego w Zakładzie Medycyny Sądowej. Uzyskane informacje dawały wiele do myślenia i miał nadzieję, że dzięki nim śledztwo potoczy się bez większych niespodzianek.

Cicho skrzypnęły drzwi i do gabinetu wrócił doktor. Jego mina świadczyła, że laboratorium zdołało już uporać się ze zleconym badaniem.

— Walenik był pod niezłą datą — poinformował porucznika. — Miał dwa i pół promille, a przy takim stężeniu alkoholu we krwi niektórzy padają pod stół.

— Dla niego finał libacji okazał się znacznie gorszy.

— W każdym razie po pijanemu miał mniejszą szansę skutecznej obrony czy choćby ucieczki.

Oficer skinął głową i zerknął na zegarek. Dochodziła właśnie jedenasta, wypadało więc wracać do siebie. Podziękował lekarzowi, uściśnął mu rękę na pożegnanie i ruszył do wyjścia,

Nie minęło nawet pół godziny, kiedy przekraczał progi żoliborskiej komendy. Na korytarzu natknął się na ziewającego ostentacyjnie Kuligowskiego.

— Przytaszczyłem ci Królewicza — sennie zameldował sierżant, wskazując opartego o ścianę mężczyznę. — Szczerze wątpię, czy coś z niego wyciągniesz — dodał ponuro. — Gość ledwo kontaktuje po wczorajszej libacji. Z trudem go docucilem.

Na samo wspomnienie nocnej wizyty w mieszkaniu Królewicza porucznik skrzywił się z niesmakiem, ale w odpowiedzi machnął tylko ręką i stanowczym gestem popchnął doprowadzonego w kierunku swojego pokoju.

— Co jest, władzuniu kochana? — jęknął tamten. ledwo znaleźli się sami. — Jak pragnę zdrowia, niczego nie mam na sumieniu!

— Zateśkniłem za tobą, synku — rzucił oficer kpiąco — a w nocy nie byłeś zbyt rozmowny.

— Chlapnąłem sobie kapeńkę w miłym towarzystwie i trochę mnie zmorzyło — Królewicz z udaną pokorą spuścił oczy. — Każdemu może się zdarzyć. Ludzka rzecz...

— Powiedzmy! — roześmiał się Mazurek. — A główka cię przypadkiem nie łupie po tym ochlaju?

— Jeszcze jak! — żałośnie przytaknął doprowadzony. — Ledwo żyję, panie władzo.

— Z kimżeś tak popił?

— Odwiedziło mnie paru kumpli — odparł Królewicz wymijająco. — Jeden przyniósł połówkę, drugi dwie i tak jakoś wyszło.

— Kto konkretnie był u ciebie? — porucznik powoli pytanie, tym jednak razem jego głos zabrzmiał już znacznie ostrzej.

— Niby wczoraj?

— Pewno, że nie w zeszłym miesiącu! — krzyknął oficer zniecierpliwiony. — Tylko nie kręć, i tak sprawdzimy — dorzucił ostrzegawczo.

— Dlaczego miałbym kręcić? — z udaną godnością oburzył się doprowadzony. — Powiem wszystko, jak na świętej spowiedzi.

— No więc?

— Najpierw przyszli Jadźka Maciejewska i Zenek Maślicki.

— Tych dwoje kręci ze sobą?

— Pan władza żartuje! — Królewicz parsknął śmiechem. — Może i Jadźka przespała się kiedyś z Zenkiem, ale na dłuższą metę to ona dobiera sobie znacznie lepszych.

— Znasz jej adres?

— Dawniej mieszkała u ciotki na Broniewskiego, ktoś mi jednak wspominał, że teraz ma własne lokum. Najlepiej niech pan zapyta Zenka Maślickiego albo Tadka Czermienia.

— Czermień też był u ciebie?

— Owszem.

— Sam?

— Przyprowadził taką rudą małodatę, nie znam jej

— A ten twój koleś gdzie mieszka?

— Zdaje mi się, że na Targowej.

— Targowa jest długa — zauważył słodko Mazurek.

— Pan władza daruje. Tadek nigdy mnie do siebie nie zapraszał — Królewicz z teatralną bezradnością rozłożył ręce. — Zresztą on dopiero co wyszedł z pudła. Dwa razy spotkaliśmy się w „Kosmosie”, raz w „Balatonie”, a wczoraj wpadł do mnie na kielicha. Ot i wszystko.

— Kto jeszcze brał udział we wczorajszej libacji?

— „Krzywy Jasio”.

— Kto taki?

— Kumpel Czermienia. Ma jedną nogę krótszą.

— Adres, nazwisko?

— O to niech pan zapyta Tadka.

— Na razie pytam ciebie.

— Nie mam zielonego pojęcia! Jak Boga Kocham!

Porucznik zmierzył przesłuchiwanego i gniewnym spojrzeniem. Był w stu procentach pewien, że tamten — kłamie, póki co nie umiał go jednak skłonić do mówienia prawdy. Spróbował więc z innej beczki.

— Znasz Adama Walenika?

— O tyle, o ile — ostrożnie przyznał Królewicz. — Nie widziałem go od paru miesięcy — dodał natychmiast. — Nawet panu nic powiem, co się z nim dzieje, ani gdzie go szukać.

— A chciałbyś go zobaczyć?

Królewicz na moment jak gdyby się zawahał, a po jego twarzy przemknął cień.

— Jeśli pan władza go za coś przymknał, to wolałbym raczej innym razem — odparł w końcu z wyraźnym przymusem.

— Niby dlaczego miałbym go zamykać?

— Ja tam nie wiem — zmieszał się Królewicz — ale na mój gust coś nie gra. Wypytuje mnie pan o znajomych, a potem zagaja o Adama... Zresztą gdyby chodziło o towarzyską pogawędkę, pański kolega nie przytaszczyłby mnie tutaj.

— Ktoś zabił Walenika ostatniej nocy — oznajmił oficer, cedząc powoli słowa. — Znaleźliśmy go w piwnicy w twoim domu.

— Jezus, Maria! — przesłuchiwany z przerażeniem chwycił się za głowę. — Wykończyli Adama?! W mojej piwnicy?!

— Nie powiesz chyba, że o tym nie wiedziałeś?

— A skąd miałbym wiedzieć?! — Królewicz z rozmachem uderzył się w piersi. — Pan sierżant wyciągnął mnie z wyrka i odstawił do komendy. Ani mi było w głowic zaglądać do piwnicy.

— No dobrze — niechętnie ustąpił porucznik. — Przypuśćmy, że Taktycznie nie widziałeś się wczoraj z Walenikiem i dopiero ode mnie dowiedziałeś się o jego losie.

— To szczerza prawda! Jak rany...

— A nie wiesz przypadkiem, komu mogłoby zależeć na śmierci twego znajomego?

— Nic mam pojęcia — energicznie zaprzeczył doprowadzony. — Nigdy nie słyszałem, żeby Adam darł z kimś koty.

— Nic ci nie przychodzi do głowy?

— Jak pragnę zdrowia.

— Trudno uwierzyć.

— Ale to prawda, panie władzo! Królewicz śmiało podniósł głowę, jednakże pod baczny spojrzeniem Mazurka szybko opuścił wzrok i z niespodziewanym zainteresowaniem zaczął oglądać swoje paznokcie. Porucznik spostrzegł to natychmiast, ale uśmiechnął się tylko ironicznie. Pomyślał, że nie ma sensu ciągnąć dłużej przesłuchania i ostentacyjnym gestem wskazał doprowadzonemu drzwi.

— Zmiataj, synu. do domu! — rzucił niechętnie. — Tyle z ciebie pożytku, co kot napłakał.

— Znaczy, mogę już iść? — Królewicz nawet nic próbował ukrywać radości, że jego wizyta w komendzie dobiega końca. — Moje uszanowanie kochanej władzuni!

— Aha. jeszcze jedno! — przypominał sobie Mazurek. — O której skończyła się wczorajsza libacja?

Żeby to ja wiedział... — doprowadzony westchnął bezradnie. — Miałem kiepski dzień, i film mi się urwał...

— A nic pamiętasz, czy ktoś z towarzystwa nic wyszedł od ciebie wcześniej?

— Niby po co? Gorzały przecież nie brakowało.

Ledwo drzwi zamknęły się za Królewiczem, do pokoju wpadł zasapany Wcisławski. W rękę trzymał plastikową torebkę ze znaną ostatniej nocy latarką.

— Na tym drobiazgu są odciski palców Malickiego! — zaczął bez żadnych wstępów. — Eksperci nie mają najmniejszych wątpliwości.

— A więc jednak! — Mazurek pokiwał głową. — Znaczy, że facet jest trefny.

— Jak dwa razy dwa cztery! — podchwycił chorąży. — Łobuz był już karany, nie ma tygodnia, żeby nie podpadł za coś dzielnicowemu.

— Szkoda tylko, że nie znaleźliśmy noża. którym oberwał Walenik.

— Po ciemku kiepsko się szuka. Zresztą jeszcze nic straconego. Chłopaki od samego rana polecili przetrząsać podwórko koło chałupy Królewicza. Prędzej czy później będziemy mieli ten nóż, a wtedy Maślicki już nam się nic wywinie.

— Oby! — z ledwo wyczuwalną nutką sceptycyzmu mruknął porucznik. — Ale nie mów hop, bo pozory czasem mylą... Dowiedziałeś się czegoś o Waleniku? — zmienił lemat.

Równic nieciekawy typ, jak Maślicki — Wcisławski skwapliwie wyciągnął z kieszeni porządnie już wysłużony notatnik. — Kiedyś był kierowcą w PKS—ie. Dwa lata temu zabrali mu prawo jazdy i od tej pory nigdzie nie pracował. Na Mokotowie miał sprawę o kradzież samochodu, ale wykręcił się sianem. W Nowym Dworze złapali go za kółkiem na cyku i bez prawa jazdy. Tym razem trochę posiedział, ledwo go jednak wypuścili, wplątał się w kolejną kradzież samochodu. Doszło do wypadku, ale że nie Walenik siedział za kółkiem, znowu uszło mu na sucho.

— Czy miał gdzieś stałe miejsce zamieszkania?

— Chyba nigdzie. Zameldowany był na Żąbkowskiej. ale tam pokazywał się raczej sporadycznie. Dwukrotnie legitymowano go w Dziekanowic, przez jakiś czas przesiadywał na Zaciszu, a ostatnio dzielnicowemu widział gościa kilka razy w melinie Królewicza. To wszystko.

Spisałeś się na medal. Nie przypuszczałem, że sypniesz z rękawa tyloma informacjami. Chociaż jednego mi tu brakuje zamyślił się oficer. — Czy Walenik utrzymywał jakieś bliższe kontakty z Maślickim?

— Trudno powiedzieć.

— Trzeba to sprawdzić. Będziesz musiał poszperać jeszcze w kartotekach, pogadać z tym i owym...

W porządku zgodził się chorąży bez cienia entuzjazmu. Widać i on odczuwał skutki nie przespanej nocy, a dodatkowe zadanie odsuwało perspektywę odpoczynku w bliżej nie określonej przyszłości.

— Przy okazji dowiedz się czegoś o Jadwidze Maciejewskiej i Tadeuszu Czermieniu.

— Co to za jedni?

— Ostatniej nocy pili razem z Królewiczem.

— Jeśli wiedzą o losie Walenika, to według wszelkich znaków na niebie i ziemi postarają się dobrze zamelinować.

— Prędzej czy później będziemy musieli do nich dotrzeć.

— Szukaj wiatru w polu!

— Podobno masz najlepszego „nosa” w komendzie...

— Nic bierz mnie. stary, pod włos! — Wcisławski parsknął śmiechem. — Wiele nie obiecuję, ale zobaczę, co się da zrobić.

Skinął Mazurkowi na pożegnanie i mszył do wyjścia. Porucznik ziewnął rozdzierająco. Był diabelnie zmęczony, a tego dnia czekało go jeszcze sporo roboty. Przez dłuższą chwilę bezmyślnie wpatrywał się w blat biurka. W końcu schował do szuflady przyniesioną przez chorążego latarkę i sięgnął po słuchawkę telefonu. Z ciężkim westchnieniem wykręcił numer pokoju ptofosa. Nadszedł czas, żeby przesłuchać Maślickiego.

Niespełna piętnaście minut później przed oficerem siedział zatrzymany osłanianej nocy chłopak. I o kilku godzinach spędzonych w areszcie sprawiał wrażenie porządnie wystraszonego.

— Więc jak? — ostro zaczął funkcjonariusz. — Będziesz mówić prawdę, czy odstawić cię z powrotem na dołek?

— Wszystko powiem — zapewnił Maślicki — tylko niech mi pan władza daruje. Coś mi wczoraj odbiło. Czasami człowiek głupieje ze strachu.

— Widać nie miałeś czystego sumienia, skoroś się mnie przestraszył.

— Co pan, panie poruczniku...

— Byłeś wczoraj u Królewicza? — natarł Mazurek. Tylko nie kłam — dodał ostrzegawczo.

— Faktycznie, odwiedziłem Maćka — przyznał zatrzymany. — Wypiliśmy sobie po kielichu.

— We dwóch?

— No... nie — sprostował Maślicki nie bez wahania. — Zeszło się parę osób.

— Kto mianowicie?

— Jadźka Maciejewska, Tadek Czermień ze swoją nową dziewczyną, Krzywy Jasio, taki krótko strzyżony student z AWF—u...

— Nazwisko, adres?

— Nie mam pojęcia — zatrzymany bezradnie rozłożył ręce. — Widziałem faceta drugi raz w życiu. Pamiętam tylko, że wołali na niego „Papa.”

— Walenik też był z wami?

— Był. Przyszedł gdzieś przed dziesiątą. Musiał wypić karniaka.

— Klóciliście się?

— Co pan! — zaprzeczył gwałtownie Maślicki. — Niby o co? Każdy gołnął pod humorek, pogadaliśmy sobie, ot i wszystko.

— Do której trwała ta popijawa?

— Nie wiem. Przypiliło mnie. ktoś akurat siedział w klozecie, więc wyszedłem za potrzebą na podwórko. Tam mnie pan nakrył.

— Bzdury!

— Żebym tak jutra nie dożył, panie władzo! — zatrzymany z rozmachem uderzył się w piersi. — Powiedziałem prawdę, jak Bogu...

— Łzesz! — krzyknął porucznik. — Uważaj, bo to się może dla ciebie źle skończyć! — dodał.

— O co chodzi?

— Zaraz wszystko zrozumiesz! — Zdecydowanym ruchem sięgnął do szuflady i wyciągnął znaną ostatniej nocy latarkę. Chciał ją podsunąć pod nos przesłuchiwanemu, ten jednak poderwał się z krzesła i rozpaczliwie zerknął w kierunku drzwi.

— Stąd się tak szybko nie wychodzi — ironicznie zauważył Mazurek. — Poznajesz, swoją zgubę?

— Niby latarkę?

— Nie, karabin maszynowy!

W pokoju zapanowało milczenie. Przez dłuższą chwilę przesłuchiwany nerwowo wyłamywał sobie palce i widać było, że myśli o czymś gorączkowo.

— Podobnych laterek jest pełno w każdym sklepie... — zauważył ostrożnie. — Nic pamiętam, czy miałem kiedyś taką.

— Zenek. Zenek, co z twoją pamięcią? — drwiąco rzucił porucznik. — Ale ja ci ją zaraz odświeżę. Przed paroma godzinami przyświecałeś sobie tą zabawką w piwnicy chałupy Królewicza. Na latarce zostały wyraźne odciski paluszków. Zgadnij czyich!

— Pan był w tej piwnicy? — z niedowierzaniem wyszeptał Maślicki. — Widział pan?...

— A. coś ty myślał? Musiałem przecież sprawdzić, dlaczego dostałeś takiego popędu na mój widok.

— O, kurwa...



— Dość tej komedii! — oficer grzmotnął pięścią w biurko. — Jeśli natychmiast nie przestaniesz kłamać i nie podasz sensownego powodu, dla którego uśmierciłeś Walenika, mozesz liczyć na stryczek!

— Jezus, Maria! To jakaś potworna pomyłka! — wychrypiał przesłuchiwany przez zaciśnięte gardło. Przecież ja nie zabiłem Adama!

—Bzdura!

— Przysięgam, panie władzo! Kiedy go znalazłem, on już nie żył!

— Takie bajeczki możesz opowiadać swojej babci —zachnął się Mazurek. — Po co wychodziłeś od Królewicza w środku libacji? Czego szukałeś w piwnicy?!

— Ja wszystko wyjaśnię...

— Już mi to obiecywałeś!

—Ale teraz naprawdę powiem!

— No więc?

— Od Maćka wyszedłem jakieś dwadzieścia po dziesiątej —zaczął Maślicki. —Od tygodnia miałem na oku jedną partaninę w sąsiednim bloku i postanowiłem sprawę sfinalizować.

— O czym ty mówisz?

— Przy Koziutulskiego mieszka cholernie dziany facet. Podobno kiedyś robił końcówki do długopisów i na tym zbił grubszą forszę. Przyuważyłem, że od pewnego czasu jego chałupa stoi zamknięta na cztery spusty i pomyślałem, że gość musiał wyjechać na letnisko.

— Włamałeś się do mieszkania? Mazurek domyślnie pokiwał głową.

— Tak —przyznał Maślicki. — Tamten i tak nie zbiednieje.

— Gdzie schowałeś fanty?

— W piwnicy Maćka, zaraz przy wyjściu z podwórka jest wolna komórka, a ja nie chciałem, żeby mnie ktoś przyfilował. Jak tacham trefne pakunki po nocy.

— Co ukradłeś?

— Znaczy... dwa magnetofony, mały telewizor i trochę ciuchów, nic więcej, jak rany...

— I co było dalej?

—Zamykałem właśnie komórkę, kiedy podkusiło mnie. żeby spenetrować całą piwnicę. Po prostu miałem stracha, czy mnie ktoś nie podpatrzył, jak chowani fanty.

— Niby kto? Może kumple Królewicza?

— A chociażby. Przecież wiedzieli o skoku.

—Walenik też?

— On nawet chciał iść ze mną.

— Ty się nie zgodziłeś i doszło między wami do rękoczynów...

— To nieprawda! — gwałtownie zaprzeczył Maślicki. — Nie było żadnej draki.

— Chyba nic powiesz, że Walenik sam się zabił?

— Ja nie wiem. kto go zakatrupił! — przesłuchiwany wlepił pełen przerażenia wzrok w oficera. Kiedy podszedłem do tych cholernych schodów... Adam już nie żył... Przysięgam... Straciłem głowę i uciekłem na podwórko. Resztę już pan wie.

— Muszę przyznać, że całkiem zgrabnie to wymyśliłeś.

— Pan mi nie wierzy?

— Niezupełnie.

— Powiedziałem prawdę! — jęknął płacząco Maślicki. — Tak było... Niech mnie pan zamknie za włamanie i za to, że pana uderzyłem, ale zabójstwo Walenika to nie ja!

Mazurek z mieszanymi uczuciami odesłał podejrzanego do aresztu. W końcu znaleziona tuż przy zwłokach latarka Maślickiego nie przesądzała jeszcze o jego winie. Porucznik miał zamiar podzielić się swymi wątpliwościami z naczelnikiem Kłosińskim, w ostatniej jednak chwili odłożył wizytę u szefa na później. Po cichu liczył, że kolejny dzień śledztwa dostarczy nowej porcji informacji, a poza tym znowu dało o sobie znać zmęczenie. Po nic przespanej nocy i pracowitym dniu wypadało wreszcie trochę odpocząć.

Wyszedł z komendy i ciężkim krokiem ruszył w kierunku przystanku. Na szczęście na autobus nie czekał zbyt długo. Siadając na wolnym miejscu pomyślał z uśmiechem, że za kilka minut wyciągnie się na wygodnej kanapie. Chciał już zapomnieć o prowadzonej sprawie, kiedy nagle przyszło mu do głowy, że po drodze warto jeszcze wstąpić do Borowicza.

Do bloku u zbiegu Stołecznej i alei Wojska Polskiego prowadziło kilka wejść, ale już przy pierwszym oficer znalazł poszukiwane nazwisko na liście lokatorów. Wdrapał się na ostatnie piętro i energicznie zapukał do opatrzonej elegancką wizytówką drzwi. Po chwili otworzył mu dość wysoki, choć lekko przygarbiony mężczyzna o zupełnie siwych, mocno przerzedzonych włosach. Sądząc na oko musiał mieć powyżej sześćdziesiątki.

— Zygmunt telefonował, że mogę spodziewać się wizyty któregoś z panów — powitał funkcjonariusza z uśmiechem. — A swoją drogą ogromnie mnie cieszy, że panowie wzięliście sobie do serca moją wczorajszą informację. Najwyższy już chyba czas, żeby ukrócić chuligańskie wybryki na naszych ulicach.

— I ja tak sędzę — przytaknął Mazurek! — Gdyby każdy rozumował w podobny sposób, przestępczość nie byłaby taką plagą.

Borowicz z zadowoleniem pokiwał głową, nawet nie myśląc ukrywać, jak mile polectała go uwaga porucznika. Skwapliwie zaprosił gościa do środka i posadził go w staroświeckim, wygodnym fotelu przy niewielkim stoliku.

— Może napije się pan herbaty? — zaproponował oficerowi. Ze starych zapasów mam jeszcze „darjeling”.

— Bardzo chętnie! Oczywiście, jeśli nie sprawi to panu kłopotu...

Kilka minut później gospodarz wniósł z kuchni dwie filiżanki gorącej, aromatycznej herbaty. Usiadł naprzeciwko Mazurka i zachęcającym gestem podsunął mu cukiernicę.

Prawdę powiedziawszy rzadko mnie ktokolwiek odwiedza — zagadnął. — Odkąd dzieciaki się poże-  
niły, całymi dniami nie mam do kogo gęby otworzyć.

— Rupućko nie bywa u pana?

— Przeważnie widzujemy się podczas wieczornych spacerów— On wyprowadza swego psa, a ja cho-  
dzę ze swoim.

— O ile pamiętam, on również mieszka samotnie?

— Z żoną się rozszedł. a jedyne go syna pochował w zeszłym roku... Ale wracając do rzeczy: Zygmunt  
wspominał mi, że panowie złapaliście już jednego z chuliganów, którzy wczoraj urządzili awanturę na Nie-  
golewskiego.

— Pański znajomy miał kłopoty z identyfikacją.

—Może mnie uda się rozpoznać, kogo trzeba. Spróbowałby pan?

— Czemu nie! Chętnie pomógłbym panu wpakować łobuzów za kratki.

Porucznik sięgnął skwapliwie do kieszeni i wyciągnął z niej kilka fotografii. Ze starannie ukrywanym  
napięciem przyglądał się, jak Borowicz obojętnie odkłada na bok zdjęcia Królewicza i Maślickiego. Zaczy-  
nał już wątpić, czy gospodarz kogoś rozpozna, kiedy nagle tamten widocznie się ożywił.

— Chyba poznaję tego mężczyznę energicznie stuknął palcem w fotografię Walenika. — Nic sądzę,  
żebym się mylił.

— Może pan dokładnie opisać, jak to było?

— Przechodziliśmy z Zygmuntem Niegolewskiego, kiedy z klatki schodowej wybiegło dwóch mło-  
dych mężczyzn — rozpoczął swoją relację Borowicz. — Pierwszy wyskoczył na ulicę taki szczupły blond-  
dyn, a ten łobuz go goni! — gospodarz ponownie dotknął zdjęcia Walenika. — Na chodniku dopadł blondy-  
na i przyłożył mu po zębach. Tamten natychmiast również zrobił użytek ze swych pięści. Wywiązała się  
bijatyka. Obaj wykrzykiwali przy tym ordynarnie i wyglądało, że byli po wódce.

— Bili się gołymi rękami?

— W pewnym momencie ten, którego panu pokazałem, wyciągnął nóż — przypomniał sobie Boro-  
wicz. — Blondyn odskoczył, ale zaraz w jego rękę ujrzałem taką krótką pałkę. Machnął nią kilka razy i ko-  
niec końców udało mu się trafić tego drugiego.

— Wytrącił mu nóż?

— Tak.

— Tym samym blondyn musiał uzyskać wyraźną przewagę.

— Czy ja wiem? — gospodarz jak gdyby się zawahał. — Mimo wszystko wyglądał mi na słabszego.

— Jaki był finał bójki?

— Nawet nie wiem. Ustaliliśmy z Zygmuntem, że trzeba zadzwonić po milicję i odeszliśmy.

— Nic pomyśleliście, żeby postraszyć chuliganów psami?

— Mój Bari ma już swoje lata i jak na dobermana był zawsze bardzo łagodny.

— Za to Atos niejednemu da radę. Tak się składa, że miałem okazję widzieć go w akcji.

— Może ma pan rację, ale wtedy zdecydowaliśmy z Zygmuntem, że nie obędzie się bez interwencji milicji.

— Skąd pan telefonował?

— Automat w alei Wojska Polskiego był nieczynny, musiałem więc iść do domu.

— A Rupućko?

— Rozstaliśmy się na rogu Kozietulskiego. Zygmunt miał jeszcze w planie przynajmniej półgodzinny spacer.

— No cóż, to już chyba wszystko.

— Zawsze do usług. Kiedy złapiecie, panowie, tego drugiego, również postaram się go rozpoznać. A swoją drogą ciekawe, ile dostanie ten ze zdjęcia?

— On nie żyje. proszę pana — wyjaśnił krótko porucznik. — Został zabity ostatniej nocy.

### III

---

Następnego dnia Mazurek przyszedł do komendy wcześniej niż zwykle, toteż bardzo się zdziwił, kiedy drzwi swego pokoju zastał otwarte. W środku siedział Wcisławski, wertując zajadle jakieś opasłe akta.

— Miałeś, Michał, nosa z tym Czermieniem! — wesoło powitał porucznika. W zeszłym miesiącu facet skończył odsiadkę za rozbój.

— Ładna historia! — oficer pokiwał głową. — Ale jaki to ma związek z naszą sprawą?

— Nawet byś nic przypuszczał! — chorąży łobuzersko przymrużył oko. — Kosztowało mnie cholernie dużo zachodu, żeby wyciągnąć z archiwum te szpargały, warto jednak było.

— Wykrztuś no wreszcie tę rewelację!

— Niewiele brakowało, żeby łobuz wykręcił się sianem. Świadków zajścia nie było, a sam pokrzywdzony miał zdrowo w czubie i niewiele pamiętał. Jak myślisz, kto przypuścił Czermienia?

Walenik? Nie żartuj?

— Ja też nic chciałem wierzyć własnym oczom, ale tu jest wszystko czarne na białym! — Wcisławski z rozmachem klepnął w akta. — Nie mam pojęcia, czym kierował się Walenik wydając kumpla, ale tak czy inaczej sprawa jest jasna.

— Myślisz, że Czermień po wyjściu z więzienia postanowił się zemścić?

— Jak dwa razy dwa cztery! Moim zdaniem trzeba zaraz zwinąć gagatka i dobrze go przycisnąć.

— No cóż. może masz i rację — zgodził się porucznik. — Ustaliłeś, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

— Z tym jest gorzej — chorąży wyraźnie spochmumiał. — Dawne adresy zdażyły się pewno zdezaktualizować.

— Co proponujesz?

Na początek warto podskoczyć do ciotki Czermicnia na Targową. Z samego rana zarezerwowałem służbową gablotę, jeśli więc nawet nie namierzemy gagatka u ciotki, będziemy mogli poszukać go gdzie indziej...

Niespełna trzy kwadranse później dotarli na miejsce. Stara, jeszcze przedwojenna kamienica nic zrobiła na funkcjonariuszach najlepszego wrażenia. Klnąc panujący na klatce schodowej zadueh wdrapali się na trzecie piętro i odnaleźli właściwe drzwi. Przyczepiony do nich kawałek tektury głosił, że mieszka tutaj Adela Ładowa.

Nastawione na cały regulator radio upewniło milicjantów, że nie przyjechali na próżno. Oficer energicznie zapukał i po krótkiej chwili otworzyła im tęga, sześćdziesięcioparoletnia kobieta.

— Czego? — rzuciła niechętnie na widok funkcjonariuszy. — Jak długo będziecie mnie jeszcze ciągać za te parę butelek, które sprzedałam znajomym?

— To, że pani handluje na lewo wódką ani nas ziębi, ani grzeje — wyjaśnił spokojnie Mazurek. — Zresztą nic do pani mamy interes.

— A do kogo? — w głosie Ładowej zabrzmiała wyraźna ulga.

— Do pani siostrzeńca.

— Przecież Tadzia dopiero co wypuścili — zc zdumieniem potrząsnęła głową. — Czyżby zdaży! już narozrabiać?

— Nie tyle on, co jego kumple — porucznik uzna!, że lepiej nic wtajemniczać kobiety w swe podejrzenia.

— Chcecie, żeby kogoś przypułowal?

— Nie o to chodzi. Po prostu musimy go przesłuchać.

— Akurat! — parsknęła śmiechem, nie kryjąc niedowierzania. —? Ja was znam! Najpierw ciągniecie za język, a potem ludzie mają z tego same nieprzyjemności.

— Wyłącznie ci, którzy coś przeskrobali.

— Mimo wszystko mam nadzieję, że Tadzio wam nie pomoże.

— Niby dlaczego?

— Bo on nigdy nic zasypuje kolegów.

— Kiedy można spodziewać się go w domu? — Mazurek przeszedł do porządku nad ostatnim stwierdzeniem Ładowej. Chyba pan Czermicń nie każe zbyt długo na siebie czekać?

— Ależ on tutaj nie mieszka — zaprzeczyła stanowczo. — Po wyjściu z pudła nocował u mnie przez tydzień, póki nie znalazł sobie innego lokum, ale od tego czasu nawet go nie widziałam.

Podaj nam pani aktualny adres siostrzeńca?

— Nie mówił, dokąd się przeprowadza.

— Czyżby? — porucznik w ironicznym grymasie wydał wargi. — A może powiedział, tylko pani wolała zapomnieć, kiedy pojawiliśmy się na horyzoncie?

— Za kogo pan mnie bierze?! — spojrzała na oficera z udaną urazą, wypadło to jednak jakoś mało przekonywająco. — Jestem uczciwą kobietą.

Mazurek przypomniał sobie o handlu wódką, ale powstrzymał się od komentarza. Również i Wcisławski machnął ręką z ostentacyjną rezygnacją. Było jasne, że od Ładowej niczego się nie dowiedzą.

— Gdyby Czarmień panią odwiedził, proszę dać znać do komendy na Żoliborzu — na wszelki wypadek dorzucił jeszcze porucznik, choć nie miał nadziei, by ciotka poszukiwanego zastosowała się do tej prośby. — To wszystko...

Ledwo Ładowa zdążyła zatrzaskać drzwi za funkcjonariuszami, chorąży splunął z wyraźnym niesmakiem.

— Cholernie nie lubię, kiedy robią mnie w konia — mruknął ponuro. Chętnie nauczyłbym babsko rozumu!

— Nic na nią nie mamy.

— Można by pogadać z chłopakami z tutejszej komendy. Może znajdzie się jakiś haczyk?

— Na to zawsze będzie czas — powiedział officer. — Lepiej zajrzyjmy do miejscowego dozorca. Nie wykłuczono, że on powie nam coś o Czermieniu.

Zeszli na parter. Pokaznych rozmiarów tabliczka już z daleka informowała, gdzie znajduje się mieszkanie gospodarza domu. Otworzy! im niewysoki, starszy mężczyzna w podkoszulku i drelichowych, mocno znoszonych spodniach.

— Panowie do mnie? — zapytał z lekkim zdumieniem na widok milicjantów. — Szukacie kogoś, czy znowu włamano się do któregoś z lokatorów?

— Mieliliśmy nadzieję, że drapniemy tu siostrzeńca Ładowej — Mazurek uznał, że najlepiej bez żadnych wstępów przystąpić do rzeczy. — Niestety gagatek zniknął gdzieś bez śladu, a ciotunia nie zdradza ochoty, by nam pomóc.

— Jeśli władza tak gwałtownie zatęskniła za Czermieniem, to chłop długo nie pocieszy się wolnością! — dozorca parsknął rubasznym śmiechem. — A swoją drogą nic dziwnego, że stara meliniara nie chciała puścić pary z gęby. Jedno warte drugiego, a kiedyś nawet kombinowali ze sobą.

— Nie rozumiem?

— Normalnie Tadek znosił fanty z różnych skoków, a baba handlowała.

— Interes nadal prosperuje?

— Tego nie wiem — dozorca bezradnie rozłożył ręce. Czermień trochę posiedział, a po wyjściu z pudła ma się na baczności.

— Często go pan tutaj widuje?

— Jeszcze nie tak dawno przez cały tydzień mieszkał u ciotki, ale teraz odwiedza ją rzadko.

— Przychodzi w jakieś określone dni?

— Raczej od przypadku do przypadku.

— Szkoda.

— Chyba jednak mógłbym panom trochę pomóc — w głosie dozorca zabrzmiała nuta nic ukrywanej satysfakcji. — Tacy jak on nic powinni wychodzić z więzienia.

— Wie pan, gdzie go szukać?

— Myślę, że u Pawlakowej. Kiedyś chodzili ze sobą, a kiedy siedział, nosiła mu paczki.

— Zna pan jej adres?

— To dwa kroki stąd. na Kobielskiej...

Maria Pawlak zajmowała niewielkie mieszkanie na pierwszym piętrze w nie otynkowanym bloku z czerwonej cegły. Bez słowa zaprosiła funkcjonariuszy do środka i nawet nie pytając o cel ich wizyty natychmiast zniknęła w kuchni. Dopiero po dłuższej chwili zorientowali się, że ta drobna, niespełna dwudziestoletnia dziewczyna jest matką dorodnego malca i właśnie szykuje mu obiad. Chłopczyk szybko oswoił się z obecnością milicjantów i bez żadnego skrępowania zaczął wspinać się na kolana to jednemu, to drugiemu. Kwadrans później Pawlakowa wróciła do pokoju, minęło jednak następne pół godziny, zanim Piotruś zjadł i dał się uśpić. Dopiero wtedy dziewczyna przycupnęła na kanapie obok porządnie już zniecierpliwionych funkcjonariuszy i skinęła głową na znak, że może poświecić im nieco czasu.

— Wiemy, że utrzymuje pani bliskie stosunki z Tadeuszem Czermieniem — zaczął porucznik łagodnie. — Właśnie o nim mieliśmy zamiar z panią pomówić.

— Bliższe stosunki! — gorzko roześmiała się Pawlakowa. — Dobre! Cholernie ładnie pan to ujął.

— Chyba pani nie zaprzeczy?

— Nawet gdybym chciała, to i tak widzieliście przed chwilą chodzący dowód tych kontaktów! — wyrzuciła z siebie gwałtownie. — Owszem, żyłam z Czermieniem i mam z nim dziecko.

— Nie zazdroszczę pani tych lat, kiedy pani przyjaciel siedział w więzieniu — ze współczuciem wtrącił Wcisławski. — Wszystkie kłopoty spadły na pani głowę.

— Rodziłam niespełna miesiąc po tym, jak go aresztowali — podchwyciła z rosnącym gniewem. — Miałam cesarskie cięcie, przez długi czas nie mogłam dojść do siebie. Nikt nie chciał mi pomóc, a jednak przez bite trzy lata nosiłam łachudrze paczki. Dopóki byłam mu potrzebna, obiecywał złote góry. Mieliśmy się pobrać, wyjechać do innego miasta, gdzie nikt by nas nie znał. i żyć jak ludzie. Wierzyłam i czekałam, a on? Ostatnia świnia! Ledwo go wypuścili, zadarł fraka i poszedł do innej. Nawet Piotrusia nie chciał zobaczyć — dodała ze łzami w oczach. — Zupełnie jak gdyby to nie był jego syn... ?

— Powinna pani wystąpić o alimenty.

— Pewno, że wystąpię, tylko co to da? — z rezygnacją machnęła ręką. Zapowiedział mi łobuz, że z własnej woli złamanego grosza nie zapłaci. A komorników bydlak ma gdzieś— bo w życiu nie zhańbił się pracą.

— Więzienie niczego go nie nauczyło — chorąży ponuro pokiwał głową.

— Chyba tylko tego, jak lepiej kraść. Przecież oni o niczym innym nie rozmawiają w celach... A czemu interesujecie się panowie Czermieniem? — badawczo popatrzyła na milicjantów. — Czyżby znowu miał coś na sumieniu?

— To jeszcze nic pewnego — odparł wymijająco Mazurek. — Po prostu chcielibyśmy wziąć go na spytki. Nie wie pani przypadkiem, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

— Głowę daję, że u tej rudej ździrzy! — krzyknęła z nic ukrywaną nienawiścią. — Nie ma jeszcze siedemnastu lat, a tłumy chłopów przepuszcza przez łóżko. I pomyśleć, że to młodsza siostra mojej szkolnej koleżanki!

— Jak do niej trafić?

— Musicie panowie pojechać na Zacisze, na Promienną. Mieszkają w takim niewielkim, drewnianym domku trochę cofniętym od ulicy. Pytajcie o Sakowska, o Ankę!

— Czy mieszka tam ktoś jeszcze?

— Maryśka w zeszłym roku wyszła za mąż i wyjechała na Śląsk, a starzy już dawno gryzą ziemię.

Niespełna dwadzieścia minut później funkcjonariusze byli na Zaciszu. Promienna bardziej przypominała wiejską, kiepsko utrzymaną drogę, niż warszawską ulicę, a prawdę powiedziawszy i domki po obydwu jej stronach nie wyglądały wcale okazale. Nieco dalej zaczynały się zagony kartofli i lichego zboża. Dopiero widoczne za torem kolejowym nowoczesne bloki świadczyły, że to jednak Warszawa.

Przezornie minęli Promienną i zaparkowawszy radiowóz kilkadziesiąt metrów dalej, wrócili piechotą w pobliże domku Sakowskich. Stał on jako jeden z ostatnich, a od ulicy oddzielały go tylko szczątki drewnianego płotu. Wcisławski chyłkiem okrążył domek, by zajść od tyłu, a Mazurek bez pośpiechu podszedł do frontowych drzwi i odczekawszy jeszcze kilka sekund energicznie zastukał. Wbrew oczekiwaniom nikt nie odpowiedział. Porucznik zastygł w bezruchu, nasłuchując przez moment uważnie, w środku panowała jednak kompletna cisza. Zdecydował się ponowić pukanie, niestety znowu bez żadnego skutku. Zaklął po nossem i po krótkim wahaniu ruszył przez zapuszczoną grządkę w kierunku najbliższego okna. Zajrzał do domku. Wszystko wskazywało, że gospodarze gdzieś się chwilowo wynieśli.

— Na mój gust w środku nic ma żywego ducha mruknął ze złością oficer do wyłaniającego się właśnie zza rogu chorążego. — Ptaszki wyfrunęły z gniazdka.

— Chyba jeszcze wrócą — Wcisławski pocieszył kolegę. Dajmy cynk do komendy, żeby przysłali tu któregoś z wywiadowców, a sami możemy zwijać manatki.

— No, to smaruj, bracie, do gabloty i spróbuj przekonać przez radio starego — zadecydował Mazurek. — Ja tymczasem rozejrzę się trochę po okolicy.

Chorąży pobiegł w kierunku radiowozu i porucznik zosłał sam. Na wszelki wypadek dwukrotnie okrążył dom Sakowskiej, zaglądając we wszystkie okna, ale podobnie jak uprzednio nie spostrzegł wewnątrz nawet śladu czyjejś obecności. Przez dłuższą chwilę zastanawia! się, co dalej robić, nic sensownego nie przychodziło mu jednak do głowy. W końcu uzna! dalsze wystawanie na cudzej posesji za bezcelowe i ru-



szy! wolnym krokiem przez zagon kartofli do niewysokiego nasypu, po którym biegła linia kolejowa. Tam usiadł za rozłożystym krzakiem i machinalnie sięgnął po papierosa. Mimo wszystko miał cichą nadzieję, że Czermicń albo Sakowska pojawią się gdzieś w pobliżu, zanim jego miejsce zajmie przysłany przez przełożonego wywiadowca.

Minęło dobre pół godziny, po torze zdażyło przejechać kilka pociągów, a Promienna nadal wyglądała, jak gdyby wszyscy o niej zapomnieli. Nawet Weisławski jakoś nie wracał z radiowozu i Mazurek zaczynał się już porządnie niecierpliwić, kiedy w końcu spostrzegł barczystą sylwetkę kolegi, kroczącego bez pośpiechu w kierunku nasypu. Chwilę później ciskając soczyste przekleństwa chorąży usiadł obok porucznika.

— Stary nie da wywiadowcy — oznajmił ponuro. — Podobno wszyscy są w terenie.

— Bajki! — zachnął się Mazurek. — A zresztą jeśli nawet na Żoliborzu tak krucho z ludźmi, można by przecież pożyczyć kogoś z miejscowej komendy.

— Nie o to chodzi — westchnął Weisławski. ? Widzisz, ledwo wyjechaliśmy z komendy, zatelefonował Borowicz. Podobno przywazały! na Marymonckiej tego bydlaka, który kropnął Walenika.

— Co takiego?!

— Oczywiście facet mógł się pomylić, ale nasz naczelnik dostał amoku. Wysłał pół tuzina chłopaków na Marymoncką, a nas kazał szukać po całej Warszawie.

— My znaleźliśmy się sami, ale po tamtym draniu zostało pewno tylko wspomnienie.

— Jakbyś zgadł. Borowicz jechał akurat tramwajem, zanim wysiadł i dał cynk, bandzior ulotnił się.

— Bodaj to szlag! — Mazurek splunął ze złością. — Daliśmy się wystrychnąć na dudków.

— Stary podsumował nas znacznie dosadniej.

— Innymi słowy nic pozostaje nam nic innego, jak warować tutaj aż do skutku. Czermień to teraz nasze jedyne solidne zaczepienie.

— Nie przesadzaj. Są jeszcze Królewicz i Maślicki.

— Oni nic nie powiedzą — zauważył porucznik sceptycznie. — Maślicki przyznał się do włamania, ale o zabójstwie nawet nie chce słyszeć, a na Królewicza nic nie mamy, żeby go porządnie przycisnąć.

— Serio zamierzasz siedzieć tutaj przez całą noc? — chorąży z niepokojem spojrział na kolegę. — W końcu nie można wykluczyć, że Pawlakowa wpuściła nas po prostu w maliny.

Porzucone babki na ogół nic kłamią, kiedy nadarza się okazja odegrania się na byłym adoratorze.

— Nie byłbym taki pewien.

Oficer wzruszył tylko ramionami na znak, że uważa dyskusję za zakończoną. Bez specjalnej nadziei zerknął w stronę Promiennej i nagle poczuł lekki dreszczyk emocji. Ulicą szła niewysoka dziewczyna o długich, rudych jak u wiewiórki włosach.

— Zaraz będziemy mieli okazję się przekonać — rzucił z widoczną satysfakcją. — Głowę daję, że to Sakowska wraca do chałupy.

Dziewczyna podeszła do drzwi domku, który pół godziny wcześniej tak skrupulatnie oglądali z zewnątrz. Wyciągnęła z torebki klucze i weszła do środka. Teraz funkcjonariusze nie mieli już żadnych wą-

pliwości. Poderwali się z nasypu i biegiem ruszyli za Sakowską. Pierwszy dopadł drzwi Mazurek. Nie były zamknięte. Widać dziewczyna przyszła do siebie tylko na chwilę.

Porucznik zatrzymał się, dając znak Wcisławskiemu, by i on zaczekał. Ciekawie zajrzeli do środka. Sakowska stała właśnie w sionce, wyjmując z szatki na licznik elektryczny jakieś zawiniątko.

— Pokaż no. dziecinko, co to takiego?! — spytał oficer. — Czyżby fanty z ostatniego skoku Czermienia?

Z przerażeniem próbowała schować za siebie zawiniątko, ale chorąży bezceremonialnie wyjął je dziewczynie z ręki i zanim zdołała zaprotestować, zajrzał do środka. Torebka z grubego, nieprzezroczystego plastyku zawierała kilka pierścionków, damski zegarek ze złotą bransoletką i okazały plik banknotów.

— Nie powiesz chyba, mała, że to spadek po babci? — Wcisławski roześmiał się szyderczo. oddając torebkę koleźce. — Oj. przyjdzie, siostró, trochę posiedzieć!

— Dlaczego? — odruchowo zasłoniła rękami twarz. — Przecież to nie moje.

— Z daleka widać, że kradzione — podchwycił chorąży. Nie ma co, ładne prezenciki dostaje się od kochanka.

— Tadek mi tego nie dał — zaprzeczyła stanowczo. — Schował u mnie, a teraz kazał przynieść... — zbyt późno ugryzła się w język, ale raz wypowiedzianych słów nic było już można cofnąć.

— Gdzie on jest?

Sakowska jakby odrobinę ochłonęła. Dotarło widać do niej, co się właściwie stało, bo z nie tajoną niechęcią popatrzyła na funkcjonariuszy.

— Sami poszukajcie! — odparła z nagłą determinacją.

— Wolisz odpowiadać za współudział? — Wcisławski uśmiechnął się ironicznie.

— Nie straszcie mnie! — pisnęła łamiącym się głosem. — Nie macie dowodów!

— Po kilku nocach w areszcie zmienisz zdanie — chorąży ostentacyjnie wzruszył ramionami. — A to, co trzymałaś u siebie w chałupie, wystarczy, żeby cię skazać przynajmniej za paserstwo.

— Przy okazji doklepiemy ci i inne sprawki Czermienia — wtrącił Mazurek. — Ziarnko do ziarnka, aż zbierze się miarka — dodał sentencjonalnie.

— Jakże znów inne sprawki? O czym pan mówi?

— O mokrej robocie.

— Co??!!!

— Oboje dostaniecie elegancki wyroczek...

— I kogo ty, mała, kryjesz? porucznik zdecydował się zacząć z innej beczki. — Tego donżuana od siedmiu boleści? Jeszcze wspomnisz moje słowa, kiedy tak jak Pawlakowej zmajstruje ci dzieciaka, a potem puści kantem.

— On mnie kocha!

— Dobre! — roześmiał się oficer. — Ciebie kocha, a z Maciejewską idzie do łóżka przy każdej okazji — zaryzykował blef. — Niedawno była draka z tym zgredem, który utrzymuje Jadźkę. Chłopaki z naszej komendy musieli ich rozdzielać...

Sakowska spurpurowiała na twarzy. W pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć, ale tylko nerwowo przygryzła wargi.

— A ja głupia nie chciałam słuchać, kiedy mnie Papa ostrzegał — wyszeptała.

Wcisławski z uznaniem spojrzął na kolegę, Mazurek nie myślał jednak spoczywać na laurach. Dobrze wiedział, że musi teraz kuć żelazo póki gorące.

— Więc jak? — zapytał łagodnie dziewczynę. — Powiesz nam gdzie jest Czermień?

— Powiem — ustąpiła bez dalszego oporu. — Niech łobuz ma za swoje... Wszystko bym mu wybaczyła, ale tego, że mnie oszukiwał, nie daruję!

— Nie wiedziałaś, co to za numer? — dorzucił porucznik. Przecież wróble na dachu ćwierkają, że on żadnej nie przepuści!

— Jeśli chcecie go przymknąć, idźcie na Lisią, do Franka Cichosza. Tadek od samego rana rżnie tam z kolesiami w pokera.

— Karta mu nie szła i gość się splukał? — domyślnie zauważył oficer.

— Trochę pożyczyl, ale nie chcieli grać z nim dalej na kredyt — potakująco skinęła głową. — Rada w radę kazał mi przynieść te fanty.

— Kogo obrobił?

— Nie wiem odparła z widocznym żalem. — Przez bity tydzień jeździł na Sadybę kikować mieszkanie jakiego lekarza — dodała niepewnie. — Myślę, że właśnie lam się włamał.

— Przyciśniemy go trochę, to powie. Dobrze tak łobuzowi!

— Przy okazji postaramy się wypowiadać go i z innych grzechów...

— Podpadł jeszcze za coś?

— A awantura z Walenikiem? Rzeczywiście! — przypomniała sobie Sakowska. — Przedwczoraj byliśmy na Żoliborzu u Królewicza i tam Tadek spotkał Adama.

— Pobili się?

— Chyba tak. ale do Walenika mieli też coś Krzywy Jasio i Papa. Tadek kazał mi zostać w pokoju, a oni wyszli na klatkę schodową.

— Wszyscy czterej?

— Nie tak od razu...

— A w jakiej kolejności?

Dziewczyna zmarszczyła brwi i przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad czymś intensywnie. W końcu bezradnie rozłożyła ręce, spoglądając przepraszająco na porucznika.

— Ja mam słabą głowę — bąknęła cicho w formie usprawiedliwienia — a Tadek kazał mi wypić pół szklanki wódki. Niewiele pamiętam z tego wieczoru.

— Film ci się urwał?

— Po prostu pojechałam do Rygi ? przyznała ze wstydem. — Byłam ledwo żywa i nic obchodziły mnie ich wzajemne żale.

— No cóż, na razie dajmy sobie z tym spokój — zdecydował oficer, widząc zmieszanie Sakowskiej. — Lepiej pokaż nam, gdzie mieszka ten Cichosz.

— To drugi dom za Kaktusową — powiedziała jak gdyby z wahaniem. — Łatwo trafić.

— Wołałabyś, żeby cię nikt nie widział w naszym towarzystwie?

— Kumple Tadeka nigdy by mi nic darowali — przytaknęła skwapliwie. — Nie miałabym życia na Zaczyszu.

Mazurek obrzucił dziewczynę nieufnym spojrzeniem, w duchu przyznał jej jednak rację.

— Niech ci będzie! — zgodził się bez dalszej dyskusji. — Jakoś poradzimy sobie sami.

Pocieszająco klepnął Sakowską po ramieniu i skinął na Wcisławskiego. Właśnie mieli zamiar ruszać do wyjścia, kiedy nagle skrzypnęły drzwi. Funkcjonariusze w ostatnim momencie zdążyli odskoczyć na bok, ale dziewczyna z przerażenia zastygła nieruchomo na miejscu.

— Co z tobą. Anka, do ciężkiej cholery?! — zahuczał gniewnie od progu ochrypy, trochę bełkotliwy głos. — Wyszłaś na pięć minut, a nie ma cię pół godziny. Ile można czekać?!

Barczysty, niespełna trzydziestoletni, choć mocno już łysiejący mężczyzna wkroczył do sionki. Musiał mieć zdrowo w czubie, bo podejrzenie chwiał się na nogach i upłynęło dobrych kilka sekund, nim zauważył, że oprócz Sakowskiej w sionce są jeszcze milicjanci. Kiedy wreszcie dotarło to do niego, runął jak burza z powrotem w kierunku wyjścia, było już jednak za późno. Zdołał wprawdzie odepchnąć chorążego tak, że tamten stracił na chwilę równowagę, ale niemal równocześnie porucznik wprawnym ruchem zatrzasnął mu na przegubach kajdanki,

— Masz, Czermień. pecha! — sapnął oficer z nie tajoną satysfakcją. — Znowu będziesz musiał założyć pasiaczek.

Zatrzymany jak gdyby nie wierząc własnym uszom popatrzył pytająco na funkcjonariuszy i nagle parsknął niepohamowanym, pijackim śmiechem.

— To pan ma pecha, panie władzo! — bezczelnie wyszczerzył zęby do Mazurka. złapał pan nic tego, kogo trzeba!

— Zaraz odejdzie ci ochota do żartów! — krzyknął porucznik. — Na dołku nie będziesz taki mądry!

— Jasna sprawa, panie władzo — tym razem zatrzymany odparł już znacznie grzeczniej. — Ale pan wyszykował miejsce w areszcie dla Tadeka Czermienia. a ja jestem Zdanowski.

— To prawda — nieśmiało wtrąciła dziewczyna. — Oni nawet nie są do siebie podobni...

— Znaczy, że masz, bracie, szczęście — zbagatelizował sprawę Wcisławski. Tylko po jaką cholere chciałeś uciekać na nasz widok?

— Z przyzwyczajenia — odburknął niewyraźnie Zdanowski. A zresztą kiedy człowiek trochę golnął, to i myśleć mu ciężko... No nie?

Niespełna kwadrans później milicjanci byli już na Lisiej. Tym razem zaparkowali radiowóz dokładnie naprzeciwko domu Cichosza i nic kryjąc się weszli na podwórko, gdzie przy zbitym z me heblowanych desk i zastawionym butelkami po piwie stoliku grało w karty czterech mężczyzn. Nieoczekiwana wizyta funkcjonariuszy wyraźnie zaniepokoiła obecnych. Bez protestu odłożyli karty i sięgali po dowody osobiste, a gospodarz mimo swoich z górą pięćdziesięciu lal i pokaźnej tuszy zaczął uwijać się dookoła przybyłych, pragnąc wysądować ich zamiary.

— Władzunia do mnie? zaczął z nieszczerym uśmiechem. — Bóg mi świadkiem, że nie spodziewałem się...

— Masz, Cichosz, pietra? — nie bez ironii zauważył Mazurek. — Czyżbyś ostatnio odstawił jakąś większą partaninkę?

— Ja?! — spytał gospodarz z udanym oburzeniem. — Siedzę cichutko jak mysz pod miotłą i od roku ani razu nie podpadłem.

— Niewykluczone, że również i dzisiaj będziesz spać we własnym wyrku.

— Znaczy, że panowie nie do mnie? — Cichosz odetchnął z wyraźną ulgą.

— Bardziej interesuje nas jeden z twoich kumpli.

— Który?

— Tadek Czernień.

— Niby ja? — niewysoki, szczupły blondyn niczym na sprężynie poderwał się z miejsca. — Kiedyś, nie powiem... skręcił człowiek to i owo —oznajmił z pokorną skruchą — ale przecież odsiedziałem wszystko co do minuty.

— Być może! — Wcisławski profilaktycznie stanął tuż obok Czernienia i zdecydowanym ruchem położył mu dłoń na ramieniu. — Tak się jednak złożyło, że mój kolega chciał sobie z tobą pogadać...

— O czym?

— Zapewne sam ci powie, jak przyjdzie pora.

— Co jest. jak rany?!... Panowie...

— W komendzie są lepsze warunki do rozmowy.

— Zabieracie mnie? — w oczach tamtego pojawił się strach. — Ale dlaczego?

— Takie jest życie — sentencjonalnie odparł choraży. — Szkoda czasu, jedziemy!

Czernień chciał zaprotestować, ale Wcisławski bezceremonialnie popchnął go w kierunku radiowozu. Zatrzymany zerknął jeszcze prosząco na swoich kompanów od pokera, jednakże ci nie kwapili się z ewentualną interwencją. W tej sytuacji Czernieniowi nie pozostawało już nic innego, jak posłusznie ruszyć z milicjantami.

Przez całą drogę w radiowozie panowało milczenie. Zatrzymany wolał nie ryzykować żadnych pytań, a i funkcjonariusze nie zdradzali jakoś ochoty do rozmowy. Dopiero kiedy przekroczyli progi komendy i znaleźli się w pokoju porucznika, oficer uznał, że może rozpocząć przesłuchanie.

— Wygląda na to, że więzienie niczego cię, Czermień, nie nauczyło — rzucił ostro na samym wstępie. Ledwo cię wypuścili, a ty już zdążyłeś narozrabiać.

— Tym razem przyjdzie ci zdrowo beknać — podchwycił natychmiast chorąży. — Sądy cholernie nie lubią recydywistów!

— Ależ panowie! — zaoponował gwałtownie Czermień. To musi być jakaś pomyłka. Jeszcze w pudle przyrzekłem sobie, że nie tknę się żadnej trefnej roboty.

— I widać nie dotrzymałeś słowa.

— Kiedy, jak pragnę zdrowia, tym razem jestem czysty!

— A mieszkanie doktora na Sadybie obrobiły krasnoludki?! — Mazurek z ironicznym uśmieszkiem sięgnął po odebraną Sakowskiej plastikową torebkę i wysypał jej zawartość na biurko. — Masz. synu. pecha — dorzucił nie bez złośliwości — Kiepsko schowałeś te fanty.

Czermień z bezsilną wściekłością zmełł w ustach przekleństwo. Nie mogąc oderwać wzroku od leżących na biurku banknotów i biżuterii rozpaczliwie usiłował znaleźć jakiś wykręt, żadne jednak sensowne tłumaczenie nie przychodziło mu do głowy. W dodatku milicjanci najwyraźniej nie mieli zamiaru pozostawić mu ani chwili do namysłu.

— No więc jak? — natarł Wcisławski. — Będziesz wreszcie gadać do rzeczy?!

— Lepiej uważaj, bo nasza cierpliwość też ma swoje granice! — zawtórował koledze porucznik. — Przez swój upór nawarzysz sobie tylko piwa, a i tak nie damy ci się wykręcić sianem!

Ostatnie słowa widać trafiły kryminaliście do przekonania, bo z nie ukrywaną nienawiścią popatrzył na funkcjonariuszy.

— Wpadłem, kurwa — przyznał ponuro. — Że też mnie podkusiło łązić do chałupy tego konowała! Za parę gównianych pierścionków będę musiał odpękać kilka kalendarzy.

— Innymi słowy w jednym punkcie doszliśmy do porozumienia zauważył nieco łagodniejszym tonem Mazurek. — Teraz porozmawiamy sobie o innych sprawach.

— O jakich? — w oczach Czermienia pojawiło się zdziwienie. — Przecież odstawiłem tylko jedną partaninkę!...

— Byłeś przedwczoraj u Królewicza?

— Tu władzę boli! — zatrzymany domyślnie pokiwał głową. — Pewno drapnęliście tego gówniarza, a on przykleił mnie do swojej roboty... Parszywy picer! Niech no ja go tylko dostanę! — zacisnął pięści. — Do końca życia nikogo już nie przypucuje!

— Nie lubisz takich, którzy informują milicję o twoich grzeszkach?

— Nie lubię — odparł Czermień z rozbrajającą szczerością. — Zwłaszcza kiedy mnie wrabiają, żeby ratować własną skórę.

— Walenik też nałgał, żeby cię wsadzić do pudła?

— To stare dzieje — tamten na moment jak gdyby się zawahał. — Było, minęło...

— Maślickiemu chciałeś dać wycisk, a o Waleniku mówisz, że to stare dzieje? — w głosie porucznika zabrzmiało niedowierzanie. — Coś mi tu, synu, nie gra.

— Kiedyś miałem cholerny żal do Adama. Ale mi przeszło.

— Widziałeś go przedwczoraj u Królewicza?

— Widziałem.

— Wspominaliście dawne czasy? ? — Jak zwykle przy kieliszku.

— Pytałeś, dlaczego cię zasypał?

— O tym nie było mowy. Wołałem nie psuć sobie krwi, a i Adamowi jakoś głupio było się tłumaczyć.

— Doszło między wami do sprzeczki?

— Władza raczy żartować! — Czermień zaprzeczył gwałtownie. — Rozeszliśmy się w zgodzie, jak rodzeni bracia!

— Znowu kręcisz! — fuknął nie tając zniecierpliwienia oficer. — Uważaj, bo narobisz sobie jeszcze przez to cholernego bigosu.

— Na głupotę nie ma lekarstwa — wtrącił sentencjonalnie chorąży. — A zresztą co się. Michał, dziwisz? — porozumiewawczo puścił oko do kolegi. — Mokra robota to nie bzdurne włamanie, więc facet próbuje uniknąć stryczka...

— Jak to, mokra robota?! — zatrzymany aż podskoczył, czerwieniejąc gwałtownie na twarzy. — W co wy chcecie mnie zrobić?!

— Nie udawaj, że nie wiesz! — krzyknął Mazurek, — Walenik sam sobie noża w plecy nie wsadził!

— Ale dlaczego właśnie ja miałbym go zakatrupić?!

— Bo cię sypnął i przez parę lat siedziałeś przez niego w pudle.

— Inni też mieli do Adama pretensje.

— O co?

— Krzywego Jasia orznął na kilka patoli, a Papie odbił dziewczynę.

— To jeszcze nie są powody, żeby zabijać.

— Takie same, jak i mój...

— Tylko że ciebie ktoś przyfilował. kiedy tłukłeś się z Walenikiem — porucznik zaryzykował blef. — Zrobimy okazanie i po krzyku.

— Ten pański świadek musi mieć pypcia na oku! — Czermień wybuchnął przeraźliwym, histerycznym śmiechem. — Taki psa od świni pewno by nie odróżnił!

— Niby dlaczego?

— Bo Adamowi nałożył po pysku Papa! — zawołał z przekonaniem Czermień. — Najpierw prali się na klatce schodowej, a potem na ulicy. Żeby tak skonał! A zresztą niech pan władza zapyta Krzywego Jasia albo Jadźki Maciejewskiej. Oni potwierdzą.

— Ty również wszystko widziałeś?

— A jak!

— Innymi słowy to właśnie Papa dźgnął nożem Walenika?

— Tego nie powiedziałem — Czermień spuścił z tonu. — Ja stałem na klatce schodowej i na ulicę za nimi nie wychodziłem. Po prostu Jadźka nie chciała dłużej patrzeć na mordobicie. Namówiła mnie, żebyśmy wrócili do mieszkania Królewicza.

— A Krzywy Jasio?

— Jakoś kiepsko się poczuł i popylił do sracza.

— Królewicz nic wychodził z wami na klatkę schodową?

— Maciek leżał już wtedy pod stołem.

— Czy Papa wrócił jeszcze do was po awanturze z Walenikiem?

— Ani jego ani Adama już nie widziałem — odparł kryminalista z namysłem. — Nawet mnie zdziwiło, że obaj się zmyli, ale machnąłem na to ręką. Miałem inne zmartwienie na głowie.

— Jakie znowu zmartwienie?

— Moja dziewczyna golnęła ciut za wiele. Pojechała do Rygi i film jej się urwał.

— Zabrałeś ją do domu?

— Nie tak od razu wyjaśni! rzeczowo zatrzymany. Chlapnęliśmy jeszcze z Jadźką po maluchu i dopiero kiedy Jasio wracając ze sracza przy filował na ulicy radiołę. pogasiliśmy światła, a potem daliśmy nogę.

— Teraz rozumiem, dlaczego w mieszkaniu Królewicza zastałem puchy — westchnął oficer. — Szkoda, że nie przyszło mi do głowy zajrzeć tam trochę wcześniej.

— Dzięki temu dwa dni później trafiłem do pudła.

— Gdzie możemy znaleźć tego Papeę? — Mazurek zmienił temat. — Mam nadzieję, że będziesz rozsądny i podasz adres kumpla?

— A jak nie?

— Powiemy prokuratorowi, że to ty zabiłeś Walenika i zwalasz wszystko na drugiego — twardo zagroził Wcisławski. — Tak czy inaczej sprawcę musimy mieć dzisiaj pod kluczem.

— To jest, kurwa, szantaż! Nie macie prawa!

— Nie ty będziesz nas uczył! — bezceremonialnie przerwał chorąży. — Więc jak? Wóz. albo przewóz?

Zatrzymany burknął coś pod nosem i nerwowo przygryzł wargi. Przez dłuższą chwilę wahał się, widać jednak doszedł do wniosku, że nic warto pogarszać swojej i tak już niewesołej sytuacji, bo W końcu ustąpił.



— Głowy nie daję, ale chyba zamelinował się w Dziekanowie Leśnym u Elki Bocianówny — poinformował z rezygnacją. — A w ogóle, to on nazywa się Mirek Papoń.

— Bocianówna to ta dziewczyna, o którą doszło do draki z Walenikiem?

— Podobno jakaś jej koleżanka, ale dokładnie nie wiem — tym razem zaprzeczenie Czermicnia zabrzmiało już całkiem szczerze. — Nigdy nie byłem w tym cholernym Dziekanowie...

Mazurek i Weisławski sadowili się właśnie w służbowym samochodzie, kiedy przed komendą zaparkował radiowóz Kuligowskiego i Sędzisz. Decyzja zapadła niemal natychmiast. Zatrzymanie groźnego przestępcy w podmiejskim terenie zawsze mogło nastęrczyć jakieś nieprzewidziane trudności, funkcjonariusze postanowili więc, że pojedą całą czwórką.

Zanim dotarli do Dziekanowa, zdążyło się już porządnie ściemnić. Dom Bocianów nie wyglądał zbyt okazale, ale dwie sporych rozmiarów szklarnie świadczyły wymownie o zamożności właścicieli. Niespełna pięćdziesiąt metrów dalej czerniał skraj Puszczy Kampinoskiej. Na wszelki wypadek Weisławski i Sędzisz ruszyli zaraz w tamtym kierunku, żeby udaremnić Paponiowi ewentualną ucieczkę. Kuligowski nie gasił silnika został w swoim radiowozie, a Mazurek bez zbytniego pośpiechu podszedł do furtki.

Mocno spóźniona wizyta funkcjonariuszy najwyraźniej zaintrygowała mieszkańców — bo ledwo porucznik zdążył dotknąć dzwonnka, na podwórku pojawił się wysoki, nieco już łysiejący mężczyzna w wytartych spodniach i kraciastej koszuli.

— 'Pan do kogo? — zagadnął oficera, mierząc jednocześnie niepewnym spojrzeniem stojące przed furtką radiowozy. — O ile wiem, w najbliższej okolicy nie było ostatnio żadnego włamania ani awantury...

— Czy pan, a raczej pańska córka nie ma w tej chwili jakichś gości? — Mazurek uznał, że lepiej od razu przystąpić do rzeczy.

— Ależ skąd... To znaczy u Elżbietki jest jeden młody człowiek — Bocian poprawił się z pewnym zakłopotaniem. — Prawdę powiedziałem bawi u nas od rana.

— Czy to niejaki Mirosław Papoń? Elżbietka ma tylu znajomych, że trudno mi spamiętać ich imiona i nazwiska — gospodarz zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć, jak nazywa się gość córki. — Najlepiej niech pan sam zapyta tego chłopca — zaproponował grzecznie, choć bez specjalnego entuzjazmu. — Zdaje mi się, że przed chwilą poszli do którejś szklarni.

— Jeśli pan pozwoli.

Porucznik wszedł na podwórko i miał właśnie zamiar skorzystać z zaproszenia Bociana, kiedy nagle w wejściu do jednej ze szklarni pojawił się niezbyt wysoki, szczupły blondyn w sztruksowych spodniach i jasnej koszuli. Na widok oficera na moment jak gdyby zamarł w bezruchu, ale nie miał widać wątpliwości, po kogo przyjechała milicja, bo prawie natychmiast odwrócił się i co sił w nogach pobiegł w kierunku płotu. Mazurek bez wahania ruszył w pościg, uciekinier był jednak wyraźnie szybszy. Jednym susem pokonał ogrodzenie i w niewiarygodnym tempie zaczął się zbliżać do skraju lasu. Wyglądało na to, że lada chwila zniknie wśród drzew, gdy nieoczekiwanie na drodze chłopaka wyrosła sylwetka Weisławskiego. Chorąży wyciągnął się w popisowym szczupaku i chwyciwszy uciekiniera wpół bez specjalnego wysiłku powalił go na ziemię.

Nadbiegający w sukurs koledze Mazurek i Sędzisz zwolnili kroku. Najwyraźniej ich pomoc była już zbędna. Niezdarnie dźwigający się na kolana chłopak zupełnie nic zdradzał ochoty do dalszej ucieczki, a stojący tuż obok Weisławski z lekceważącym uśmieszkiem szykował kajdanki.

— Dobra robota, Jędrus! — porucznik hukną! na całe gardło. Dawaj sukinsyna do gabloty i wracamy na Żoliborz.

Chorąży odwrócił głowę, żeby odpowiedzieć oficerowi, kiedy zaszło coś, czego żaden z milicjantów się nie spodziewał. Powalony przed kilkoma sekundami chłopak nagle odzyskał sprawność, błyskawicznie stając na nogach. Wcisławski spróbował jeszcze chwycić go za ramię, ale w tym samym momencie potężny kopniak w okolicę dołka rzucił chorążego na ziemię. Chłopak nawet się nic obejrzał, by sprawdzić skutki swego ciosu. Ruszył jak burza w kierunku lasu i zanim Mazurek z Sędziszem zorientowali się w czym rzecz, uciekinier wpadł pomiędzy pierwsze drzewa.

W lesie było znacznie ciemniej, niż na otwartej przestrzeni. Nic minęło nawet pół minuty i kluczący między zaroślami Papoń zniknął funkcjonariuszom z oczu. Tylko trzask łamanych gałęzi wskazywał drogę jego ucieczki, a w tej sytuacji szanse na uwięźnienie pościgu powodzeniem zmalały niemal do zera. Co gorsza milicjanci nie mając latarek i biegnąc prawie po omacku, raz po raz potykali się o powalone pniaki i wystające korzenie.

Po kwadransie bezowocnych wysiłków Mazurek uznał, że dalsza gonitwa po puszczy nic ma większego sensu i dał sygnał do powrotu. Nic miał oczywiście zamiaru zrezygnować z pochwylenia uciekiniera, ale żeby tego dokonać, trzeba było zorganizować akcję na znacznie szerszą skalę.

Na widok wracających z niczym kolegów Kuligowski nie mógł się powstrzymać od kpiącego uśmiechu.

— Trzech chłopów na schwał nie dało rady dorwać byle łapserdaka? — zauważył złośliwie.

— Igła w stogu siana! — odburknął porucznik ze złością. — Bez psa moglibyśmy szukać gościa do rana.

— Nie byłoby kłopotu, gdyby Andrzej nie pozwolił się wyrolować.

— Zamiast gadać daj cynk oficerowi dyżurnemu.

— Kiedy facet prysnął wam do lasu, zaraz puściłem w ruch radiotelefon — sierżant nie omieszkął pochwalić się swoją domyślnością. — Z Warszawy przysłał psa z przewodnikiem, a chłopaki z posterunku w Łomiankach obiecali, że pomogą nam spenetrować teren.

— Widzę, że nie marnowałeś czasu! — ostatnie nowiny wyraźnie poprawiły Mazurkowi humor. — Jak dobrać pójdzie, przed północą będziemy mieli gagatka.

— I ja mam nadzieję, że daleko nic ucieknie.

— Na wszelki wypadek warto by jeszcze zapytać starego Bociana, czy gość córki nic zostawił w willi jakiejś swojej rzeczy. Dalibyśmy powąchać pieskowi, a czworonóg już bez problemu odnalazłby właściwy trop.

— Szanowny badylarz tak się wystraszył całym zajściem, że bez pytania przyniósł mi zgubę tego chłopaka — Kuligowski skwapliwie wyciągnął z radiowozu mocno powycieraną dżinsową kurtkę. — Przy okazji obiecał mi też solennie, że wygarbuje córce skórę za utrzymywanie podejrzanych znajomości.

Nic minęło nawet pół godziny, kiedy na skraju lasu zaroilo się od milicyjnych mundurów. Zgodnie z zapowiedzią sierżanta na miejsce przyjechał również przewodnik z dorodnym owczarkiem niemieckim. Uwolniony od kagańca Ami przez dłuższą chwilę starannie obwąchiwał podaną mu kurtkę. Wreszcie sapnął na znak, że jest już gotów i z nosem przy ziemi ruszył! niezbyt szybko wzdłuż płotu okalającego posesję

Bocianów. Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów nagle przystanął i parę razy hałaśliwie wciągnął w nozdrza powietrza. Towarzyszący przewodnikowi Mazurek i Wcisławski przypomnieli sobie, że dokładnie w tym miejscu uciekinier pokonywał ogrodzenie. Porucznik ze szczerym uznaniem spojrzął na owczarka i zamierza! właśnie podzielić się spostrzeżeniem z jego panem, kiedy pies nabrawszy widać pewności siebie szczeknął radośnie i długimi susami puścił się w kierunku lasu.

Wytrenowany w podobnych akcjach przewodnik bez trudu nadażał za swym pupilem, jedynie od czasu do czasu hamując nieco jego zapędy szarpnięciem zastępującej smycz długiej linki. Mazurek i Wcisławski radzili sobie znacznie gorzej. Wprawdzie nauczeni doświadczeniem zabrali tym razem latarki, ale i tak nie byli w stanie dostrzec w porę wszystkich przeszkód, a po kilkunastu minutach biegu zaczęło im brakować oddechu. W dodatku owczarek pozwala! funkcjonariuszom na odpoczynek jedynie wówczas, gdy sam przystawał przy jakimś rowie lub wykrocie.

Porucznik i chorąży stracili już dobre pięćdziesiąt metrów do przewodnika, kiedy nagle Ami warknął złowrogo. Przewodnik zatrzymał psa i błyskawicznie odpiął linkę od obroży. Teraz owczarek nie potrzebował dodatkowej zachęty. Niczym pocisk wyrzucony z katapulty runął do gęsto zarośniętego krzakami rowu i w chwilę później wśród trzasku łamanych gałęzi rozległ się ochryply z przerażenia krzyk pochwyconego mężczyzny.

— Mamy łobuza! — z wyraźną ulgą w głosie zawołał przewodnik. Ami jak zwykle spisał się na me-  
dal!

## IV

---

— Jest pan wyjątkowo punktualny — Mazurek z uśmiechem powitał Rupućkę. — Nie spóźnił się pan ani minuty.

— Przecież nie' mogłem sprawić panu zawodu. W końcu nie mniej niż milicji zależy mi. by na żoliborskich ulicach panował spokój.

— Spróbuje pan rozpoznać drugiego z uczestników poniedziałkowej awantury?

— Macie go już pod kluczem? — świadek wyraźnie się ucieszył.

— Wczoraj do późna w nocy uganiaлиśmy się za łobuzem po Puszczy Kampinoskiej — wyjaśnił porucznik. — Jeśli nie zaszła jakaś pomyłka, w co osobiście szczerze wątpię, sprawę zabójstwa Walenika lada dzień będziemy mogli przekazać prokuratorowi.

— W takim razie jestem do pańskiej dyspozycji.

W chwilę później byli już w korytarzyku prowadzącym do aresztu. Oficer przeprosił na moment Rupućkę i pierwszy wsunął się do pomieszczenia, w którym miało zostać dokonane okazanie. Uważnym spojrzeniem zlustrował czekających po drugiej stronie kraty mężczyzn. Czermień i Papoń nerwowo przestępowali z nogi na nogę, zdając sobie widać sprawę, że zaraz wydarzy się coś, co może zadecydować o ich losie.

Pozostała trójka, dość przypadkowo dobrana spośród aktualnych pensjonariuszy aresztu, wymieniała półgłosem jakieś uwagi, najwyraźniej traktując udział w okazaniu jako swego rodzaju rozrywkę.

Mazurek skinął profosowi głową na znak, że wszystko w porządku i wrócił po świadka.

— Może pan wejść — rzucił zachęcająco. — Spośród pięciu zatrzymanych wskaże pan tego właściwego.

— Oni też mnie zobaczą? — w głosie Rupućki pojawił się cień niepokoju.

— Oczywiście. ?

— A nie dałoby się załatwić tego jakoś inaczej?

— Nie rozumiem? — nagle zmiana postawy świadka zdezorientowała porucznika.

— Widzi pan, ja wieczorami dużo spaceruję — bąknął Rupućko niepewnie. — Nie mam żadnych obiekcji, jeśli dzięki mnie któryś z chuliganów powędruje za kratki, ale po co aż tylu postronnych świadków? Przecież w końcu miejscowe męty mogą zmówić się przeciwko mnie, a wtedy nawet kły Atosa niewiele pomogą.

— Obawia się pan zemsty?

— Słyszałem to i owo o zwyczajach, panujących w tak zwanym półświatku.

— Od kogo?

— Mój syn studiował prawo. Gdyby nie zginął w wypadku samochodowym, najprawdopodobniej trafiłby do milicji...

— No dobrze — ustąpił oficer. — Spróbujemy załatwić wszystko tak, żeby nikt niepowołany pana nie zobaczył.

Funkcjonariusz zdecydowanym ruchem otworzył drzwi po prawej stronie korytarzyka. W:cszli do sąsiedniego pomieszczenia. Mazurek zbliżył się do jednej ze ścian i odsunął ciężką zasłonę z zielonego sukna. W głębi sporych rozmiarów wnęki tkwiła matowa, jak gdyby nieco przybrudzona szyba.

— Niech pan podejdzie i popatrz — łagodnie zachęci! świadka. — Chyba pan słyszał o lustrze fenickim? Może mi pan wierzyć, że nikt z tamtej strony nawet nie domyśli się pańskiej obecności.

Rupućko bez dalszych obaw zbliżył się do lustra i przez dłuższą chwilę spoglądał uważnie na zgrupowanych przy kracie aresztantów. W końcu skinął głową na znak, że nie ma żadnych wątpliwości.

— To ten blondyn, pierwszy z lewej — w lekko ochryplym z przejęcia głosie świadka zabrzmiały determinacja i pewność siebie. —Widziałem, jak w poniedziałek przed północą bił się z zamordowanym.

— Wiec jednak Papoń! porucznik odruchowo zatarł ręce. — Dobrze zapamiętał pan sobie tego gagatka? — upewnił się na wszelki wypadek.

— Przechodziłem dość blisko i miałem czas, żeby mu się przyjrzeć. O żadnej pomyłce nic może być nawet mowy.

— Opowiedziałby mi pan jeszcze raz o wszystkim...

— To wyglądało na najzwyczajszą pijacką burdę — Rupućko nie dał się prosić. — Ten zabity i ten drugi okładali się pięściami gdzie popadło i wymyślali sobie, aż uszy puchły.

— Nie zauważył pan przypadkiem u któregoś z nich jakiejś pałki albo noża?

O ile dobrze pamiętam, to wybiegając na ulicę nic mieli niczego w rękach. Dopiero później Walenik wyciągnął coś zza pazuchy.

— Zauważył pan, co to było takiego?

— Chyba nóż. ale dla pewności niech pan jeszcze zapyta Borowicza. Jemu można wierzyć bez zastrzeżeń. Pracował kiedyś w zakładzie jubilerskim i ma oko, jak rzadko kto.

— A co z Paponiem?

— On też chwycił za jakieś żelazo.

— Borowicz twierdzi, że za pałkę — odpowiedział oficer.

— Znaczy, że sprawa jest jasna.

— Szkoda, że i pan nie przyjrzał się wszystkiemu tak dokładnie jak kolega.

— Prawdę powiedziawszy nigdy nie pociągały mnie podobne widoki — usprawiedliwia! się świadek. — Zresztą skąd mogłem przewidzieć, że jeden z chuliganów zabije drugiego?

— Zabójstwa nie zdarzają się co dzień — przytaknął Mazurek — i oczywiście nikt nic ma do pana najmniejszych pretensji. Sam pan jednak rozumie, że musimy sprawdzić wszystkie szczegóły.

— Najważniejsze, że sprawca siedzi w areszcie.

— Tylko że niestety nikt Paponia za rękę nic złapał i póki co świadczą przeciwko niemu jedynie poszlaki.

Dowody też z czasem się znajdą.

— I ja mam taką nadzieję.

— Proszę mi wybaczyć ciekawość — nieśmiało zapytał Rupućko — ale właściwie w jaki sposób zginął Walenik? Przed chwilą wspominał pan coś o pałce i nożu.

— Eksperci twierdzą, że oba te narzędzia były w użyciu. Pałkę widział u Paponia Borowicz, ale co się stało z nożem, trzeba dopiero wyjaśnić.

— Może znajdzie go pan w mieszkaniu tego łobuza albo w jakiejś uczęszczanej przez niego melinie?

— Oby okazał się pan dobrym prorokiem. Porucznik podziękował Rupućce i wrócił do swego pokoju. Niespełna piętnaście minut później profos przyprowadził do niego Paponia. Na twarzy chłopaka malował się nic ukrywany strach.

— Siadaj, synu! — łagodnie zaczął oficer, wskazując zatrzymanemu krzesło po drugiej stronie biurka. — Wygląda na to, że brzydko wpadłeś.

— Ja? — Papoń udał zdziwienie, ale wypadło to jakoś mało przekonująco. — To musi być jakaś pomyłka!

— Cholernie stary kawał — roześmiał się Mazurek. — Słyszałem go już setki razy od podobnych do ciebie pechowców.

— Co tu jest grane?

— Trochę posiedzisz, to i szare komórki zaczną ci funkcjonować jak należy.

— Miało być przecież okazanie?

— Już po wszystkim,

— Nie zauważyłem, żeby komukolwiek mnie pokazywano.

— Po prostu świadek nie życzył sobie bliższych kontaktów z takim bandziorem jak ty i wolał popatrzyć na ciebie z daleka — porucznik beznamiętnie wzruszył ramionami. — Póki co będzie ci musiał wystarczyć protokół. Chyba zresztą nic zaprzeczysz, że w poniedziałek doszło do rękoczynów pomiędzy tobą i Walenikiem?

Zatrzymany poczerwieniał na twarzy i nerwowo przygryzł wargi. Przez moment wahał się, co odpowiedzieć, w końcu widać jednak doszedł do wniosku, że nie warto zaprzeczać.

— Może i tak — przyznał niechętnie.

— O co poszło?

— Bydlak zaczął sypiać z moją du... dziewczyną..,

— Nie uważasz, że mocno przesadziłeś, wysyłając faceta do aniołków?

— Nieprawda!! — Papoń aż podskoczył. — Ja go nie zabiłem! Na początku raz i drugi dałem mu po ryju, ale on nawet się nie skrzywił... Potem Adam mnie trafił, a ja o mały włos nie wyzionąłem ducha, tak mnie przytknęło.

— Nie mogłeś poradzić pięścią, więc spróbowałeś załatwić Walenika pałką.

— Ciekawe, co pan by zrobił na moim miejscu? — tym razem w głosie zatrzymanego nie wyczuwało się nawet odrobiny skruchy. — Sukinsyn wyciągnął kosę!

— Nóż mu wytrąciłeś?

— Zgadza się.

— I co dalej?

— Trafiłem go ze dwa razy. Trochę poczuł, ale miał taką krzepę, że kłonicy byłoby na niego mało.

— Z braku kłonicy sam sięgnąłeś po kozik.

— Nieprawda! Dołożył mi i musiałem wiać.

— A może zadźgałeś go jego własnym nożem?

— Nie!!!

— Przecież sam sobie kozika w plecy nie wsadził — sarkastycznie zauważył funkcjonariusz.

— Ja tego nie zrobiłem! Lepiej powiedz prawdę.

— To prawda, jak Boga kocham! W pokoju zapanowało milczenie. Porucznik przez kilka sekund mierzył przesłuchiwanego nieufnym spojrzeniem. Papoń nerwowo wiercił się na krześle, nic jednak nie wskazywało, by miał zamiar ustąpić. W tej sytuacji oficer zdecydował się zacząć z innej beczki.

— Przed chwilą wspomniałeś o swojej dziewczynie. Czy to ta, u której cię nakryliśmy? — zapytał z pozorną obojętnością.

— Jej koleżanka — odparł zatrzymany niechętnie — Starzy mieszkają po sąsiedzku.

— A jak się nazywa twoja luba?

— Monika Zatorska. Dawno ją znasz?

— Ze dwa lata. Kiedyś przyprowadził ją na prywatkę jeden z moich kumpli i jakoś przypadliśmy sobie do gustu.

— Jak nazywał się ten kolega?

— Waldek.

— A nazwisko?

— Nie pamiętam. To był chłopak z tego samego roku studiów.

— To ty studiujesz?

— Zaliczyłem dwa semestry na AWF—ie. Potem mnie wylali...

— Za co?

— Nie pańska sprawa!

— Nie chcesz, nie mów — Mazurek obojętnie wzruszył ramionami. — I tak się wszystkiego dowiem na uczelni.

— Ma pan rację — tym razem Papoń ustąpił nadspodziewanie łatwo. — Jeden z asystentów zaczął dobierać się do Moniki. Sprawy zaszły zbyt daleko, musiałem dać mu po pysku.

— Widzę, że okładanie się pięściami, to twoje hobby.

— A co, miałem spokojnie patrzeć?! — odburknął zaczepnie. — Monika święta nie była i nie jest, a że się podoba, musiałem pędzić jej adoratorów.

— A jednak nie upilnowałeś jej przed Walenikiem.

— Nic nie mogłem poradzić — westchnął Papoń z nie ukrywanym żalem. — Oni znali się od dawna, jeszcze zanim starzy kupili jej mieszkanie w Warszawie. Podobno Adam najął się kiedyś do szklarni, a że miał bicepsy jak atleta. Monika zwróciła na niego uwagę. Ojczulek Zatorski coś przewąchał i wyrzucił Walenika na zbity pysk, ale stara miłość nie rdzewieje.

— Kto ci powiedział, że stosunki pomiędzy Zatorską a Walenikiem znowu nabrały bardziej intymnego charakteru?

— Nieważne!

—Wszystko może być ważne — zaznaczył twardo porucznik. — Przynajmniej w sytuacji, kiedy jesteś podejrzany o zabójstwo!

— Już panu mówiłem, że nie mam z tym nic wspólnego! Adama musiał załatwić ktoś inny!

— Więc czemu zamelinowałeś się w Dziekanowic?! — zachnął się oficer. — Dlaczego uciekłeś, kiedy przyjechaliliśmy po ciebie do Bocianówny?! Najwyższy czas, żebyś wreszcie przestał kręcić! — nieoczekiwanie grzmotnął pięścią w biurko. — I tak nikt nie uwierzy w te brednie!

— Przecież nie tylko ja miałem powody, żeby źle życzyć Walenikowi — przesłuchiwany zaproponował nieśmiało. — Niech pan weźmie w obroty i innych jego znajomych, a wszystko się wyjaśni.

— Co ty powiesz? — Mazurek kpiąco wyduł wargi. — Nigdy bym na to nie wpadł.

— Czermień siedział przez Adama w pudle.

— O tym ćwierkają już wszystkie wróble na dachu.

— Krzywy Jasio też się odgrażał, że przeciągnie go mojką...

— Niby za co?

— Dokładnie nie wiem — zastrzegł się Papoń. — Słyszałem tylko, że Adam zdrowo go naciął.

— I to miałyby być powód do zabójstwa?

— Podobno w grę wchodziła jakaś grubsza forsa... Zresztą niech pan zapyta Jadźki Maciejewskiej. Ona panu powie, co i jak.

—Tak czy inaczej z Walenikiem biłeś się ty, a nie Czermień czy Krzywy Jasio.

— I tylko dlatego pan mnie podejrzewa?

— Powiedziałeś, że Walenik zaczął sypiać z twoją dziewczyną — porucznik zignorował pytanie chłopaka, wracając do poprzedniego tematu. — Kiedy to miało miejsce?

— W zeszłym tygodniu Monika ogłosiła wszem i wobec, że wyjeżdża na trzy dni do jakiejś koleżanki. Od starych wzięła ekstra dziesięć patoli, mnie cmoknęła w ucho na pożegnanie i tyle ją widziałem. Sam się teraz dziwię, że jej uwierzyłem...

— W rzeczywistości dziewczyna zamieszkała u twego konkurenta?

— Jasne.

— Jak na to wpadłeś?

— Dobrze, powiem panu — tym razem przesłuchiwany uznał, że nie warto wykręcać się dłużej od odpowiedzi. — W zeszły piątek przypadkiem spotkałem na mieście Jadźkę. Od słowa do słowa i mała puściła farbę.

— Pojechałeś do Walenika?

— Owszem, ale niestety pocałowałem tylko klamkę. Monika zdecydowała się właśnie wrócić do siebie, a Adam po prostu poszedł w kurs.

— No cóż. trzeba to wszystko sprawdzić — podsumował oficer. — Gdzie mieszka Zatorska?



— Na Klaudyny, trzeci blok licząc od Podleśnej.

Niespełna pół godziny później Mazurek energicznie zapukał do drzwi opatrzonych wizytówką Zatorskiej. Otworzyła mu wysoka, postawna blondynka o regularnych, choć dość pospolitych rysach twarzy. Mogła być w wieku Paponia albo odrobinę młodsza.

— Pani Monika Zatorska? — upewnił się porucznik.

— Owszem — zmierzyła oficera lodowatym spojrzeniem. — A pan w jakiej sprawie?

— Przyszedłem zamienić z panią kilka słów' na temat niejakiego Mirosława Paponia.

— Ach tak! — po twarzy dziewczyny przemknął pogardliwy uśmiezek. Prędzej czy później mogłam się tego spodziewać. Proszę, niech pan pozwoli do środka.

Znaleźli się w niezbyt obszernym, stereotypowo urządzonej pokoiku. Jak na mieszkanie córki podwarszawskiego badylarza wewnątrz wyglądało nader skromnie, ale chwilowo Mazurek przeszedł nad tym faktem do porządku. Zatorska usiadła na wersalce, wskazała mu miejsce obok siebie i niedbałym ruchem sięgnęła po papierosa.

— Słucham, co chciałby pan wiedzieć? — spytała.

— Słyszałem, że od dłuższego czasu pozostawała pani z Paponiem w dość bliskich stosunkach.

— Powiedzmy! — ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

— Jak mogłaby go pani scharakteryzować?

— Postrzelony, chorobliwie zazdrosny gówniarz, który wszystkie problemy próbuje rozwiązać przy pomocy pięści.

— Niezbyt pochlebna ocena.

— Na taką właśnie zasługuje. Sama nie wiem, co do tej pory w nim widziałam, ale teraz już koniec z nami.

— Pokłóciliście się?

— Delikatnie powiedziane.

— O co poszło?

— Urządził mi karczemną awanturę, wyzwiał od najgorszych, a na zakończenie dał po twarzy. Żadna szanująca się dziewczyna nie zniosłaby podobnego traktowania.

— Zrzucił pani zdradę?

— Owszem.

— Przepraszam za pytanie, ale czy jego podejrzenia były uzasadnione?

— Nie jestem niczyją własnością! — zachnęła się Zatorska. — Mogę robić, co mi się podoba.

— Ależ oczywiście! — porucznik przytaknął, choć bez specjalnego przekonania. — W końcu wyłącznie od pani zależy wybór: Papoń czy Walenik.

Nie odpowiedziała. Przez krótką chwilę w pokoju panowało milczenie. Dziewczyna kilka razy zaciągnęła się głęboko, usiłując opanować nerwy, a i oficer dał jej parę sekund, ślamazarnie zapalając extra mocnego.

— Czy po tej awanturze widziała się pani z Paponiem? — wrócił do tematu.

— Pan chyba żartuje!

— A z Walenikiem?

Potrząsnęła przecząco głową. Mazurek odniósł wrażenie, że ostatnie pytanie sprawiło Zatorskiej przykrość. Z wolna zaczynał nabierać pewności, że dziewczyna nie wie o śmierci Walenika. Był ciekaw, jaką reakcję wywołałaby ta wiadomość, ostatecznie jednak zdecydował nie informować swej rozmówczyni o niczym.

— Czy utrzymywała pani kontakty z kimś z otoczenia Paponia?

— Tylko z Adamem... No może jeszcze z Jadźką Maciejewską — Zatorska na moment jak gdyby się zawahała. — Dziewczyna mieszka dwa piętra pode mną, więc to tak, po sąsiedzku.

— A nie widuje się pani z Czermieniem, Królewiczem, Maślickim albo Krzywym Jasiem?

— Wybacz pan, ale to nie dla mnie towarzystwo.

Porucznik miał już na końcu języka, że Walenik niczym nie różnił się od wymienionej przed chwilą czwórki, w ostatniej jednak chwili zrezygnował. W najbliższej przyszłości Zatorska mogła się jeszcze do czegoś przydać, zrażanie jej nie miałooby najmniejszego sensu. — Do tej pory nic powiedział mi pan, czemu tak naprawdę zawdzięczam pańską wizytę? — zmieniła temat. — Czyżby Mirek znowu coś narozrabiał?

— Znowu? — podchwycił oficer. — Mam rozumieć, że Papoń miewał już kłopoty z milicją?

— I to nieraz! Za pobicie pana Matulskiego trafił na kolegium, nie mówiąc już o relegowaniu z uczelni, a w zeszłym roku też ledwo wykręcił się po tym wypadku pod Łomiankami.

— Jaki wypadek ma pani na myśli?

— Jechali maluchem z Adamem i jeszcze jakimś kolegą Mirka. Cała trójka była na dobrym gazie i wpakowali się na zaparkowaną na poboczu ciężarówkę. Papoń i Walenik wyszli z tego cało, ale ten trzeci umarł w drodze do szpitala. W dodatku okazało się, że samochód był kradziony.

— Pamięta pani nazwisko tamtego zmarłego chłopaka?

— Niestety — bezradnie rozłożyła ręce. — Widziałam go wszystkiego raz, może dwa razy... Na imię miał chyba Jacek, ale nic więcej na jego temat nie potrafię powiedzieć.

— Który z tej trójki zainicjował jazdę po pijanemu kradzionym wozem?

— Nie wiem — Zatorska jak gdyby się spłoszyła. — Przyjechali wtedy po mnie. na szczęście jednak nie dałam się wyciągnąć z domu... A potem zwalili wszystko na Jacka. Jemu i tak było już wszystko jedno, a oni uniknęli odsiadki.

— No cóż, na razie to chyba wszystko — Mazurek podniósł się z miejsca. — Aha, jeszcze jedno — przypomniał sobie w progę. — Od jak dawna znała pani Walenika?

— To stare dzieje — uśmiechnęła się lekko na samo wspomnienie. — Chodziłam jeszcze wtedy do ogólniaka i mieszkałam z rodzicami w Dziekanowic. Kiedyś ojciec zatrudnił Adama w szklarni. Chłopak mi się spodobał, ja jemu też...

Maciejewska była niższa od Zatorskiej i nieco tęższa, ale starannie umalowana i ubrana w peweksowskie ciuszki wyglądała znacznie atrakcyjniej. Na widok dziewczyny porucznik nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ma dzisiaj w planie randkę z kimś spoza półświatka, w którym obracała się na co dzień.

— Witam kochaną władze w moich skromnych progach! — uśmiechnęła się do oficera niczym do staro znajomego. — Władza służbowo, czy tylko na towarzyską pogawędkę?

— Słyszała pani, co się przydarzyło Walenikowi? — Mazurek uznał, że nie warto owijać, sprawy w bawelnę.

Zmierzyła porucznika uważnym spojrzeniem. Myślał już, że Maciejewska zaprzeczy, bo wieść o zabójstwie jeszcze się nic rozniosła, ale Jadźka skinęła w końcu głową.

— Ktoś chłopaka zadźgał nożem — westchnęła z nie ukrywanym żalem. — Szkoda go.

Podobno była pani tego wieczoru u Królewicza?

Faktycznie — przyznała bez cienia zażenowania. — Popiliśmy sobie, jak rzadko.

— Słyszałem, że jakieś pretensje zgłaszał do Walenika Papoń. Miało nawet dojść do rękoczynów.

— Pożarli się o Monikę Zatorską.

— Widziała pani, jak się bili?

— W takiej sytuacji lepiej nic podchodzić zbyt blisko.

— Który z nich zaczął?

— Mirek.

— Od razu wyciągnął nóż? — pozornie pytanie należało do stereotypowych, oficer musiał jednak użyć całej siły woli, by nie zdradzić się, jakie znaczenie przywiązuje do oczekiwanej odpowiedzi

— Noża to ja u Paponia nie widziałam — odpowiedziała ostrożnie. — Zresztą nie tylko Mirek miał pretensje do Walenika — dorzuciła już z własnej inicjatywy. — Czermień też skłął Adama, a Galicki wypomnił mu ten skok na jubilera.

— Zaraz, zaraz! — Mazurek zamienił się w słuch. — Czyżby Walenik miał na sumieniu aż tak poważne włamanie?

— Teraz on już nie żyje, więc mogę panu powiedzieć — przytaknęła Maciejewska. — Trzy lata temu namierzeli z Galickim taki jeden punkt jubilerski na Mokotowie. Skok podobno wypalił, ale chłopaki zbyt nio się nie obłowili. Na . dokładkę Janka zaraz zatrzymała milicja. Poszedł siedzieć, nie sypnął jednak Adama ani nic powiedział, gdzie są fanty. Byłoby dobrze, ale Walenik przepił wszystko, zanim Galicki wyszedł z więzienia,

— Ten Galicki, to Krzywy Jasio? — domyślił się porucznik.

— Chłopak ma jedną nogę krótszą i stąd przezwisko.

— Myśli pani, że Walenika uśmiercił właśnie on, a nie Papoń?

— Tego nie powiedziałam — energicznie potrząsnęła głową. — Wiem tylko, że prócz Papy wielu ludzi miało żal do Adama, ale kto dźgnął chłopaka pod żebro, sam pan musi zgadnąć.

— No dobrze — ustąpił oficer. — Niech mi pani tylko powie, gdzie mieszka Galicki i dam pani spokój.

— Musi pan pojechać Grochowską do Szembeka. Po lewej stronie będą takie przedwojenne kamienice.

— Była tam pani?

— Kiedyś, z Mirkiem.

— A propos! — przypomniał sobie Mazurek. — Kiedy ostatni raz widziała pani Paponia?

— Następnego dnia po awanturze u Królewicza.

— Rozmawialiście?

— Mirek nie miał czasu. Spieszył się na działkę.

— Na działkę? — porucznik ze zdziwieniem zmarszczył brwi. — Skąd u niego zamiłowanie do ogrodnictwa?

Działka jest stryja Papy, a my tylko od czasu do czasu urządzaliśmy tam sobie prywatki na świeżym powietrzu. Kiedyś nawet nocowaliśmy w altance.

— Jak trafić na tę działkę?

— To dwa kroki stąd, nad kanałkiem. Od bramy trzeba iść w prawo, wzdłuż płotu, a potem skrócić w taką trochę szerszą alejkę. Różowej altanki raczej pan z inną nic pomyli.

Oficerowi przemknęła myśl, że warto byłoby wysłać na działkę ekipę techników albo przynajmniej któregoś z wywiadowców. Pożegnał się z Maciejewską i miał właśnie zamiar wracać do komendy, w ostatniej jednak chwili zmienił zamiar. Ogródki działkowe były tak blisko, że nie nakładając specjalnie drogi mógł zajrzeć tam sam, nie prosząc nikogo o pomoc.

Na dworze już nieco szarzało, kiedy Mazurek znalazł się przy bramie. Poszedł wzdłuż płotu i po chwili znalazł właściwą alejkę. Prawie natychmiast wpadła mu w oko zgrabna, pomalowana na jasnoróżowy kolor altanka. Prowadząca na działkę furtka nie była zamknięta. Porucznik minął ją i bez pośpiechu zaczął obchodzić ogródek. Nie różnił się on zbytnio od sąsiednich, może tylko więcej rosło tu krzewów porzeczek i malin.

Oficer zbliżył się do altanki. Ażurowe drzwiczki, podobnie jak furtka, stały otworem. Mazurek ciekawie zajrzał do środka. Zwinięty w kłębek śpiwór, dwie sporych rozmiarów puszki po konserwach i puste butelki po piwie świadczyły wymownie, że jeszcze nic tak dawno ktoś tutaj mieszkał, a przynajmniej nocował. Porucznik niedbale kopnął puszkę, odsunął na bok jedną z butelek i nachylił się nad śpiworem. Przez moment obmacywał go uważnie, nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy. Miał właśnie zamiar opuścić altankę, kiedy jego wzrok zatrzymał się na kilku porzuconych w kącie szmatach. Ruszył je nogą i nagle poczuł lekki dreszczyk emocji. Pod Szmatami leżał niezbyt szeroki, myśliwski nóż z rogową rękojeścią. Na gładkim ostrzu można było dostrzec kilka niewielkich, rdzawych plamek.

# V

---

Dwie noce spędzone w areszcie wycisnęły na Paponiu wyraźne piętno. Jego nic ogolona twarz nabrała niezdrowego, szarawego odcienia, a pod oczami pojawiły się brudnosine wory. Chłopak wyglądał przynajmniej o piętnaście lat starzej, niż w momencie zatrzymania. Mazurek przez dłuższą chwilę przyglądał mu się uważnie, nim wskazał krzesło po drugiej stronie swego biurka.

— Namyśliłeś się? — zapytał krótko.

— O co chodzi? — aresztant nie zrozumiał albo udał, że nie rozumie.

— Chyba już najwyższy czas powiedzieć prawdę.

— Przecież ja nie skłamałem, nawet na tyle! — Papoń obrazowo pokazał czubek paznokcia. — Pan mi nie wierzy?

— Co robiłeś po awanturze z Walenikicm? — spytał Mazurek.

— Przez dobrą godzinę włóczyłem się po Żoliborzu.

— Nie lepiej było wrócić do domu?

— Wołałem nic ryzykować,

— Niby dlaczego?

— Miałem zdrowo w czubie i byłem poobijany przez Adama. Wyobraża pan sobie gadanie moich starych?

— Myślałby kto, że naprawdę boisz się rodziców — po twarzy oficera przemknął pełen niedowierzania uśmiezek. — Gdzie nocowałeś?

— Na działce stryja. Tam jest altanka i latem bez problemu można się przekimnąć.

— Przypadkiem złożyłem wizytę w tej altance — Mazurek z udaną obojętnością otworzył szufladę i rzucił na blat biurka znaleziony poprzedniego dnia nóż. — Korzystając z okazji oddaję zgubę.

Chłopak w pierwszym odruchu wyciągnął rękę, ale niemal natychmiast cofnął ją. Pobladł gwałtownie i na czole pojawiły mu się kropelki potu.

— To nie moje — wykrztusił łamiącym się głosem.

— A niby czyje?

— Adama.

— Miał go przy sobie w poniedziałek? W odpowiedzi Papoń skinął tylko głową.

— Na ostrzu ujawniono ślady krwi tej samej grupy, co krew Walenika — twardo zaznaczył porucznik. — Widziano was. Jak się biliście tuż przed jego śmiercią, nóż został znaleziony tam, gdzie spędziłeś noc po zabójstwie, a ty próbujesz wykipić się od odpowiedzialności opowiadając jakieś dyrdymałki?!

— To nie ja zabiłem Adama!!!

— Trzeba ci było majcher wyrzucić albo lepiej schować — nieubłaganie ciągnął dalej oficer. — Teraz nie masz już żadnych szans.

— Kiedy ja naprawdę...

— Czy ty, idioto, nie rozumiesz, że w ten sposób sam zakładasz sobie stryczek na szyję?!

Papoń skulił się i przez dłuższą chwilę nie był w stanie wydusić z siebie nawet słowa.

— No, dobrze — wyjąkał w końcu kapitulując przed Mazurkiem. — Powiem panu, jak to było.

— Słucham.

— Walenik mi przyłał, że całkiem mnie zamroczyło. Sam nie wiem, jakim cudem znalazłem się dwie przecznice dalej, na Mieroshnyskiego. Nie mam pojęcia, ile trwało, zanim doszedłem do siebie, dość że w końcu postanowiłem wrócić.

— Przed wejściem do chałupy Królewicza znalazłeś nóż Walenika — podpowiedział porucznik. — Przyszło ci do głowy, że można z niego zrobić użytek...

— Adam już wtedy nie żył — cicho zaprzeczył przesłuchiwany. — Leżał w progu i się nie ruszał. Wpadłem w; panikę. Wiedziałem, że wszystko pójdzie na moje konto. Wciągnąłem go do piwnicy, żeby zyskać trochę na czasie i uciekłem.

— A co z nożem?

— Pomyślałem o nim dopiero na działce stryjka. Było już za późno, żeby wracać.

— Nóg nie dostał i sam do altanki nie przyszedł.

— Ale mógł go podrzucić Krzywy Jasio! — aresztant nagle stuknął się w czoło. — Przecież był tam ze mną, piliśmy wódkę...

— Kiedy?

— Zaraz następnego dnia.

— W jakich okolicznościach?

— Rano nie mogłem usiedzieć na działce. Cholernie się bałem, nie chciałem być sam. W końcu odważyłem się wyjść na miasto. Na placu Inwalidów całkiem przypadkiem spotkałem Jasia. Od słowa do słowa okazało się, że ma przy sobie pół litra i szuka kompana do klina po libacji u Królewicza. Kupiliśmy jeszcze trochę piwa i wróciliśmy na działkę.

— Rozmawialiście o Waleniku?

— Galicki nie wspominał o nim ani słowa, a i ja nie miałem na to najmniejszej ochoty.

— Kiedy się rozstaliście?

— Jasio biegał jeszcze po drugą połówkę, potem nocował w altance, a w środę odprowadził mnie na dworzec PKS—u.

— Do Dziekanowa już z tobą nie pojechał?

— Nawet mu tego nie proponowałem.

— Niby jedno z drugim trzyma się kupy — przyznał oficer — ale dlaczego o podrzucenie noża podejrzewasz właśnie Galickiego?

— Poza nim nikogo nie było w altance. Przynajmniej w mojej obecności.

Mazurek z mieszanymi uczuciami odesłał chłopaka do aresztu. Prawdę powiedziawszy sam już nie wiedział, co myśleć o zabójstwie Walenika. W miarę postępu śledztwa coraz więcej poszlak przemawiało przeciwko Paponiowi, z drugiej jednak strony mnożyły się wątpliwości. Gdyby na znalezionym w altance nożu ujawniono odciski palców chłopaka, sprawa byłaby jasna. Niestety w ocenie laboratorium jedynymi nadającymi się do identyfikacji śladami na znalezisku okazały się plamki krwi i koronny na pierwszy rzut oka dowód nic przesądzał jeszcze niczego.

Porucznik wrócił do swego pokoju i zniechęcony usiadł przy biurku. Zastanawiał się właśnie, co dalej począć, kiedy skrzypnęły drzwi i w—progu stanął Wcisławski. Tryumfalnie wymachiwał notatnikiem, a jego mina zwiastowała pomyślną nowinę.

— Wygląda na to, że Maciejewska powiedziała ci prawdę — oznajmił oficerowi na samym wstępie. — Galicki siedział dwa i pół roku za włamanie do jubilera. Chłopaki z mokotowskiej komendy namierzali do sprawy również i Walenika, ale facet wykręcił się sianem.

— Galicki nie chciał go sypanąć, a innych dowodów pewno nie było — domyślnie zauważył Mazurek.

— Otóż to! — przytaknął chorąży. — Tak schowali fanty, że za cholerę nic nie można było znaleźć.

— Dużo ukradli?

— Według ówczesnych cen za jakieś pół miliona. Ten punkt zajmował się wyłącznie naprawą biżuterii, a traf chciał, że w sejfie nic było akurat bardziej wartościowych błyskotek.

— Zważywszy na zdzierstwo paserów, impreza raczej mało opłacalna. Na czysto mogli mieć z tego ze sto, góra sto pięćdziesiąt tysięcy.

— W każdym razie jeśli Walenik faktycznie przepuścił udział Krzywego Jasia, ten miałby powód do zemsty.

— Nie da się ukryć... Uzyskałeś potwierdzenie aktualnego miejsca pobytu Galickiego?

— Jasne.

— W takim razie bierzemy wóz i w drogę.

Zamykali właśnie drzwi, kiedy na biurku hałaśliwie rozdzwonił się telefon. Porucznik przystanął niezdecydowany, w końcu jednak postanowił sprawdzić, kto to taki. Wrócił do biurka i podniósł słuchawkę.

— Słucham, Mazurek — rzucił niecierpliwie.

— Dzień dobry, mówi Roman Borowicz.

— Stało się coś? — oficer nie taił swego zaskoczenia.

— Ależ nic! — tamten żywo zaoponował. — Chciałem tylko panu pogratulować. Słyszałem od Zygmunta, że zabójcę ma pan już pod kluczem.

— Zatrzymaliśmy jednego łobuza, ale śledztwo jeszcze nie zakończone.

— W każdym razie gros roboty jest za panem.

— Powiedzmy.

— Widzę, że nie w porę wybrałem się z tym telefonem — Borowicz najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie należy przedłużać rozmowy. — Pan pewno zajęty?

— Troszeczkę.

— W takim razie jeszcze raz gratuluję i do zobaczenia.

— Moje uszanowanie.

Mazurek odłożył słuchawkę i drapiąc się za uchem popatrzył niepewnie na Wcisławskiego.

— Ki diabeł? Skąd to nagle zainteresowanie Borowicza naszym śledztwem?

— W środę tez facet dzwonił do komendy — przypomniał chorąży.

— Zaraz, zaraz! — porucznik nagle stuknął się w czoło. — Przecież on kiedyś pracował u jubilera.

— Zgadza się.

— Czy wiemy, w którym punkcie?

— Wypadaloby sprawdzić.

— A masz wykaz pracowników punktu, do którego włamali się Walenik z Galickim?

Ponura mina Wcisławskiego starczyła za odpowiedź.

— Szkoda czasu! — oficer podjął już decyzję. — Nie obejdzie się bez wizyty u pana jubilera.

Przed komendą czekał radiowóz Kuligowskiego. Sierżant nie czekając na niczyją zachętę docisnął pedał gazu i po kilku minutach byli już przy bloku u zbiegu Stołecznej i alei Wojska Polskiego. Mazurek z chorążym niemal biegiem ruszyli na ostatnie piętro i chwilę później dotarli do mieszkania Borowicza.

— Kogo ja widzę?! — szeroki uśmiech gospodarza wyglądał całkiem szczerze. — Nigdy bym nie przypuszczał, że jeden niewinny telefon zwabi panów w moje skromne progi.

— Po prostu przypomniało nam się, że musimy wyjaśnić parę drobiazgów.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— W środę również telefonował pan do komendy — porucznik udał, że zagląda do notatnika. — Niestety nie było mnie na miejscu.

— Wydawało mi się, że widzę na ulicy drugiego z uczestników poniedziałkowej awantury — skwapliwie wyjaśnił Borowicz. — Wysiadłem na najbliższym przystanku i zadzwoniłem.



— Gdzie zauważył pan tego człowieka?

— Na Marymonckiej, niedaleko hali targowej.

— Pan jechał w stronę Bielana?

— Do Śródmieścia — gospodarz energicznie potrząsnął głową. — W przeciwnym wypadku sam poszedłbym do komendy, zamiast telefonować.

— Zechciałby pan zerknąć na te fotografie? Kompletowana przez oficera kolekcja zdjęć osób powiązanych ze sprawą znacznie poszerzyła się od ostatniej wizyty u Borowicza, ale i tym razem gospodarz nie wahał się długo.

— To był ten chłopak — stuknął palcem w fotografię Paponia.

— Szedł sam?

— Jego kompana też zapamiętałem — tym razem Borowicz sięgnął po zdjęcie Galickiego.

— Gratuluje pamięci wzrokowej! — Wcisławski aż gwizdnął z podziwu. — Żaden z naszych wywiadowców by się nie powstydział.

— Szkoda, że nie było pana w pobliżu podczas włamania do pańskiego punktu jubilerskiego jak gdyby nigdy nic podchwycił Mazurek. Złodzieje natychmiast znaleźliby się pod kluczem, a tak moi koledzy po fachu mieli masę roboty.

— Przepraszam, ale nie rozumiem? — w oczach gospodarza pojawiło się niekłamane zdziwienie. — O jakim włamaniu pan mówi?

— Słyszałem od Rupućki, że zanim przeszedł pan na emeryturę, okradziono pańskie miejsce pracy — skłamał gładko porucznik.

— Nic podobnego. Zygmuntovi musiało coś się pomylić..

— Pan pracował w punkcie jubilerskim na Mokotowie?

— Na Starym Mieście — sprostował Borowicz. — I zapewniam pana, że w ciągu ostatnich lat mojej pracy nikt tam się nie włamywał.

Niespełna trzy kwadransy później radiowóz Kuligowskiego zatrzymał się nie opodal skrzyżowania Grochowskiej i Szembeka. Jakies sto pięćdziesiąt metrów dalej stała czteropiętrowa, brudnoszara kamienica, w której mieszkał Galicki. Funkcjonariusze bez pośpiechu podeszli do bramy. Kuligowski został na dole, a Mazurek z Wcisławskim ruszyli klatką schodową na ostatnie piętro. Na pokrytych spękaną farbą drzwiach ktoś koślawo wypisał flamastrem numer mieszkania, o żadnej pomyłce nic mogło być więc mowy. a nastawione na cały regulator radio świadczyło, że gospodarz jest u siebie. Porucznik energicznie zastukał. Radio nieco przycichło, a chwilę później zza drzwi dobiegł niski, ochrypły głos.

— Kto u ciężkiej cholery?!

— Z elektrowni! — oficer nadał głosowi możliwie niewinne brzmienie. — Sprawdzamy liczniki.

— Spadaj na mordę! — warknął Galicki z nie ukrywanym zniecierpliwieniem. — Nic ci do mojego licznika.

— Proszę otworzyć, bo inaczej odetnę światło. — Mazurek zaryzykował groźbę.

O dziwo poskutkowało. Skrzypnęły drzwi i w progu pojawił się niewysoki, barczysty mężczyzna w podkoszulku i znoszonych dżinsach. Zmierzył ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy nieprzyjaznym spojrzeniem, najwyraźniej wahając się jeszcze, czy wpuścić ich do środka.

— Licznik jest w najlepszym porządeczku — zastrzegł stanowczo. Zresztą nikt przy nim nigdy nie majstrował, więc czemu miałyby się popsuć?

— Obywatel Galicki?

To był błąd Wcisławskiego. Chorąży wyciągnął rękę, by na wszelki wypadek pochwycić Krzywego Jasia za ramię, ale doświadczony kryminalista pojął w mgnieniu oka, z kim ma do czynienia, bo gwałtownie szarpnął się w tył i trzasnął drzwiami, nim któryś z milicjantów zdążył je przytrzymać. Oficer spojrzał z wyrzutem na Wcisławskiego. Na wymówki nie było jednak czasu. Obaj zgodnie, cofnęli się o krok i jak na komendę runęli do przodu. Rozległ się ogłuszający trzask łamanego drewna i drzwi z łoskotem wyleciały z futryny.

Chorąży stracił równowagę, padając wraz z drzwiami na podłogę. Niewiele brakowało, żeby i Mazurek doświadczył! losu kolegi, ale w ostatniej chwili udało mu się przytrzymać stojącego przy wejściu zdezelowanego wieszaka. W dwóch susach pokonał zagracony przedpokój, nie oglądając się minął kuchnię i wpadł do pokoju. Jedno z dwóch okien było otwarte, a za jego boczną krawędzią zniknęły właśnie nogi Galickiego.

— Stój! — wrzasnął porucznik, choć prawdę powiedziawszy nie łudził się, że tamten posłucha, — Nie masz szans. Dom jest obstawiony!

Niespełna półtora metra nad oknem, wzdłuż krawędzi dachu biegła rynna. Druga, pionowa również była niemal w zasięgu ręki. Właśnie po niej wdrapywał się uciekinier. Oficer wskoczył na parapet i wychylił się, by pochwycić Galickiego, tamten jednak okazał się szybszy. Dźwignął! górną część tułowia ponad krawędź dachu, zaczepił butem o rynnę i moment później był na dachu.

Mazurek zmełł w ustach szpetne przekleństwo. Mając już czwarty krzyżyk na karku nie palił się do karkołomnego pościgu po dachach kamienic, tymczasem wszystko niestety wskazywało, że w inny sposób nie da rady zatrzymać Krzywego Jasia. Bez dalszego wahania skoczył na pionową rynnę. Zakołysała się niebezpiecznie, ale na szczęście wytrzymała. Mazurek napiął mięśnie, podciągając tułów do góry. Szło mu gorzej niż uciekinierowi, ostatecznie jednak po chwili również i on znalazł się na krawędzi dachu.

Galicki by! już dobre trzydzieści metrów dalej. Lekko kuśtykając posuwał się wzdłuż rynny w kierunku sąsiedniej kamienicy.

— Stój! — Mazurek zdyszonym głosem powtórzył wezwanie. — Nie masz szans!

Tamten odwrócił głowę, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale w tym samym momencie zaczepił butem o jakąś nierówność dachu i rozpaczliwie trzepocąc rękami runął jak długi. Wśród ogłuszającego łoskotu pękających dachówek stoczył się na rynnę. Spróbował wstać, tym jednak razem przerdzewiała blacha nie utrzymała jego ciężaru. Rozległ się charakterystyczny przenikliwy chrzęst i kryminalista zniknął za krawędzią dachu.

Porucznik poczuł na plecach lodowaty dreszcz i przez ułamek sekundy nie był w stanie zdobyć się na jakikolwiek wysiłek. Dopiero rozpaczliwy krzyk Galickiego uświadomił mu, że jeszcze nic jest za późno. Nie patrząc pod nogi ruszył biegiem w kierunku miejsca, gdzie urwała się rynna. Chwilę później klęczał już na skraju dachu.

Sytuacja wyglądała wręcz beznadziejnie. Blisko metrowy kawałek rynny zwisał pionowo ku ziemi, chyba tylko cudem trzymając się jeszcze dachu. Wczepiony palcami w jego koniec Krzywy Jasio aż posiniał z wysiłku i widać było, że lada moment mięśnie odmówią mu posłuszeństwa.

Oficer położył się na ocalałej części rynny. Wyglądała ona niezbyt solidnie, nic miał jednak wyboru. Wychylił się do granic możliwości i stękając z wysiłku spróbował sięgnąć przegubu Galickiego. Nic udało się. Milicjant zaklął niczym dorożkarz, ale nie pozostawało mu nic innego, jak ponowić próbę. Jeszcze jeden wysiłek i wreszcie końce palców prawej ręki Mazurka zacisnęły się na dłoni Galickiego. Tamten nie wahał się ani sekundy. Bez zastanowienia puścił drugą ręką koniec blachy i chwycił się porucznika. Niemał w tym samym momencie rynna zgrzytnęła nieprzyjemnie i kawałek, na którym do niedawna wisiał Krzywy Jasio, odpadł od dachu.

Przez chwilę obaj trwali w bezruchu, oficer zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że długo tak nie wytrzyma. Lewą ręką wczepił się mocniej w skraj dachu i natężył mięśnie, by wywindować trzymanego wyżej. Z wysiłku aż pociemniało mu przed oczami, ale efekt okazał się mizerny. Co więcej, rynna, na której leżał, zatrzeszczała ostrzegawczo.

— Spróbuj podeprzeć się o ścianę! — wychrypiał do trzymanego. — No, szybciej, do cholery!

Tamten posłusznie zamachał nogami, mur okazał się jednak zbyt gładki albo buty zbyt śliskie. W dodatku Krzywy Jasio wisiał akurat między rzędami okien, ewentualny skok na parapet nie mógł więc wchodzić w rachubę.

Mazurek ponownie spróbował podciągnąć Galickiego. Przez ułamek sekundy myślał już, że tym razem się uda. Kiedy jednak usiłował poprawie się, rynna zgrzytnęła złowrogo i porucznik poczuł, że sam zaczyna się zsuwać. Odruchowo spojrział w dół. Cztery piętra niżej na chodniku stał Kuligowski. Sierżant widział wszystko dokładnie, ale nic miał żadnych możliwości przyjscia koledze z pomocą. Oficer szarpnął się rozpaczliwie, a Galicki zaszorował znowu nogami po murze. W tym samym momencie któreś z wiązań podtrzymujących rynnę pękło z przerażającym chrzęstem i funkcjonariusz zrozumiał, że to już koniec.

— Trzymaj się, stary! — nieoczekiwany krzyk Wcisławskiego zadudnił nagle tuż za plecami Mazurka. — Zaraz ci pomogę!

Rozległ się trzask łamanych dachówek, kilka z nich potoczyło się z dachu, ale chwilę później porucznik poczuł, że krzepkie ręce chorążego windują go sprawnie do góry. Poprawił chwyt wolną ręką. Jeszcze chwila i miał już na tyle pewne oparcie, że mógł znowu pomyśleć o Galickim.

Przez dobrą minutę albo i dłużej wszyscy trzej siedzieli w milczeniu na skraju dachu. Mazurek nie czuł rąk ani karku. Galicki łąpał ustami powietrze niczym ryba wyciągnięta z wody, a Wcisławski nie mógł oderwać wzroku od urwanej rynny i potłuczonych dachówek.

Pierwszy doszedł do siebie chorąży. Zmarszczył brwi i trącił łokciem kryminalistę.

— Czemu żeś durniu, uciekał?

— Przecież pan wie, że za rozbój przy recydywie nie zszedłbym poniżej piątki — wychrypiał tamten ponuro. — Myślałem, że może mnie nic dostaniecie.

— I dlatego o mały włos nie skręciłeś karku?

— Tak się złożyło.

— A co to był za rozbój?

— Więc panowie nie przyszlście... — na twarzy Krzywego Jasia pojawiło się niebotyczne zdumienie. Kurwa! Ale ze mnie idiota!

— Pomówmy lepiej o Waleniku — wtrącił porucznik. — Rozbój może poczekać.

— Słyszałem, że Adam nie żyje — przyznał ostrożnie Galicki. — Ale zbyt wiele panu na ten temat nie powiem.

— Został zabity.

— Podobno...

— Tej nocy piliście razem u Królewicza.

— Zgadza się.

— Miałeś do niego żal o skok na jubilera.

— Stare dzieje — Galicki ostentacyjnie wzruszył ramionami. — Zresztą to moja wina, że wtedy wpadłem. Zachciało mi się zadać szpanu i zaniósłem dziwce pierścionek. Sypnęła mnie przed dzielnicowym i dwa dni później trafiłem za kratki.

— Twój współnik był mądrzejszy.

Krzywy Jasio przez moment jak gdyby się wahał, w końcu uznał jednak, że po śmierci tamtego solidarność przestępcza już nic obowiązuje.

— Adam skitrał cały chłam i przez rok nawet się do niego nie dotknął.

— A potem?

— Opylił błyskotki jakiemuś paserowi.

— Znasz jego nazwisko?

— Żartuje pan?! — Galicki aż się zachnął. — Niby skąd?

— Kto nadał robotę?

— Ależ panie władzo! — tamten wyraźnie nic chciał podtrzymywać tematu. — Przecież ja jestem po wyroku, Walenik wacha trawkę od korzonków, a fanty ze skoku dawno już poszły gdzieś w Polskę. Po kiego grzyba wałkować wszystko od początku?

— No więc?! — Mazurek zdecydowanie nie zamierzał dyskutować z Krzywym Jasiem.

— A niech tam! — Galicki wreszcie ustąpił. — Tego jubilera wymyślił właśnie Adam. Przyfilował wszystko bez pudła i poszliśmy jak po swoje.

— Może dostał cynk od któregoś z pracowników albo nawet samego szefa interesu?

— Tego to ja nie wiem.

— W każdym razie ty poszedłeś siedzieć, a on przepuścił twoją dolę.

— Teraz to już bez znaczenia. '

— Nie powiedziałbym.

— O rany! Pan myśli, że ja go kropnąłem? Za tych kilka błyskotek?

Zdziwienie Krzywego Jasia wypadło całkiem szczerze i porucznik uznał, że póki co lepiej zmienić temat.

— Kiedy ostatni raz widziałeś Paponia? — rzucił z pozoru obojętnie.

— Na popijawie u Królewicza... Chciaż nie! — poprawił się Galicki. — Następnego dnia we dwóch przewróciliśmy połówkę i krzynekę piwa.

— Leczyliście kaca?

— I to niezłego!

— Gdzie, jeśli można wiedzieć?

— U Mirka, na działce

— A niczego tam przypadkiem nie zgubiłeś"! — oficer dźwignął się na łokciu i uważnie spojrzał w oczy kryminaliście.

— Pan znalazł coś trefnego na tej działce? — domyślił się Krzywy Jasio.

— Przypuśćmy.

— Ja Papie niczego nie podrzuciłem — zastrzegł się Galicki. — A swoją drogą żal mi chłopaka. On chyba jeszcze nie siedział, a pierwszy raz jest zawsze najgorzej...

— No dobrze! — Mazurek uznał, że dalsze przeciąganie rozmowy z kryminalistą w tych bądź co bądź niecodziennych okolicznościach nie miałyby większego sensu. — Wracamy do komendy.

— I co dalej? — zainteresował się Wcisławski.

— Ty weźmiesz nakaz przeszukania chałupy Galickiego i zorientujesz się, co jest z tym rozbojem koło bazaru, a ja odwiedzę rodzinę Paponia.

Półtorej godziny później porucznik wjechał windą na piąte piętro jednego z nowych bloków przy ulicy Stołecznej. Drzwi otworzyła mu niezbyt wysoka, drobna blondynka dobrze już po pięćdziesiątce.

— Pani Paponiowa? — upewnił się na wszelki wypadek.

— Owszem — przytaknęła spłoszona. — A pan w jakiej sprawie?

— Byliśmy zmuszeni zatrzymać pani syna — wyjaśnił jak umiał najłagodniej. — Sprawa nie jest jeszcze przesądzona, ale sama pani rozumie...

— Tak, wiem — przerwała oficerowi. — Ela opowiedziała mi o wszystkim. Męża niestety nie ma w domu, ale proszę, niech pan wejdzie.

Skwapliwie skorzystał z zaproszenia i po chwili znaleźli się w maleńkim, schludnie wyglądającym pokoiku. Na wersalce siedziała zgrabna, dwudziestoletnia dziewczyna o długich, ciemnych włosach. W przeciwieństwie do Paponiowej popatrzyła na funkcjonariusza z nie ukrywaną wrogością.

—Czego pan chce od Mirka?! — na policzkach Bocianówny pojawił się niezdrowy rumieniec. — Dlaczego trzyma go pan w areszcie? Przecież pan dobrze wie, że on niczego złego nie zrobił!

— Zabito człowieka — twardo zaznaczył Mazurek. — Prowadzimy śledztwo i dla nikogo nie może być taryfy ulgowej.

— Ale Mirek jest niewinny! — powtórzyła z rozpaczliwym uporem. — Rozumie pan?

— Skąd ta pewność?

— Powiedziałby, gdyby miał cokolwiek na sumieniu. Zawsze zwierzał mi się ze wszystkiego. Nawet kiedy jeszcze chodził z Moniką.

Porucznik z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Bocianówna broniła Paponia z determinacją godną lepszej sprawy. Oficerowi przemknęła myśl, że w gruncie rzeczy chłopak by lepiej zrobił wiążąc się w swoim czasie właśnie z nią zamiast z Zatorską, postanowił jednak nie wyjawiać Swych spostrzeżeń.

— Czy mógłbym rzucić okiem na rzeczy pani syna? — zwrócił się do Paponiowej.

— Proszę — przyzwoliła bez większego oporu. — Pokój Mirka jest obok. Tylko że... —zawahała się na moment.

— Tak? — podchwycił funkcjonariusz.

— Syn od tygodnia nie zaglądał do domu, nie wiem więc, czy pańska praca będzie miała jakikolwiek sens.

— No cóż, zobaczymy...

Pokój zajmowany przez Mirosława Paponia był równie mały, jak ten, do którego zaproszono przed chwilą Mazurka. Na umeblowanie składały się trzy zdezelowane pufy, tandetny regał, stolik i zastępujący łóżko gruby materac. Jedyne urozmaicenie stanowiła tu bogata kolekcja noży gęsto porozwieszanych na słomianej macie. Porucznik przyjrzał się im uważnie, żaden jednak jakoś nie wzbudził jego podejrzeń. Sama mata była już porządnie sfatygowana i nosiła ślady przyczepiania do niej w przeszłości najrozmaitszych przedmiotów, tak że mimo najszczerszych chęci oficer nie umiał od ręki określić, czy ostatnimi czasy któryś z noży nie ubył z kolekcji.

Regał nie zawierał niczego, co mogłoby zainteresować funkcjonariusza. Garderoba młodego Paponia nie świadczyła o zamożności właściciela, a wśród jego książek zdecydowanie przeważały „kryminały”. Milicjant miał już zamiar zrezygnować z dalszych poszukiwań i opuścić pokój, kiedy w jego ręce wpadła spora plastikowa torba z fotografiami. Usiadł na pufie przy stoliku i bez pośpiechu zaczął przeglądać zdjęcia. Jedne przedstawiały młodych ludzi biwakujących gdzieś na łonie przyrody, inne przywodziły wspomnienia prywatki i suto zakrapianych spotkań towarzyskich, jeszcze inne prezentowały wdzięczne buzie koleżanek Paponia. Większość fotografii wróciła już na swoje miejsce do plastikowej torby, gdy wzrok Mazurka zatrzymał się na zdjęciu przedstawiającym trzech chłopców na tle jakiegoś zagranicznego samochodu. Z lewej strony stał Walenik, w środku Papoń, a po prawej barczysty brunet z wąsikami. Tego ostatniego porucznik jak dotąd jeszcze nie widział.

— Co to za jeden? — zapytał od niechcienia Paponiowej. — Zna go pani?

— Kolega syna z liceum wyjaśniła. — W zeszłym roku zginął w wypadku.

— Jak się nazywał?

— Jacek Rupućko.

— A co to był za wypadek?

— Wszyscy trzej jechali jakimś zabranym przez Jacka samochodem. Prowadził właśnie Rupućko, a że był po wódce, zdarzyło się nieszczęście.

— Do wypadku doszło pod Łomiankami? — oficer przypomniał sobie słowa Zatorskiej.

— Tak. słyszał pan o tym?

— Pozwoli pani, że pożyczę tę fotografię?

— Bardzo proszę. Ale jaki ma ona związek ze sprawą syna?

— Pewno żaden — mruknął porucznik bardziej do siebie, niż do kobiety. — Chociaż, kto wie...

W komendzie nie było jeszcze Wcisławskiego, ale Mazurek ani myślał na niego czekać. Czuł, że narzeczcie zbliża się do rozwiązania zagadki. Wpadł na moment do swego pokoju po nóż znaleziony na działce Paponia, zgłosił oficerowi dyżurnemu, dokąd się wybiera i pół godziny później był już w alei Wojska Polskiego.

Rupućko powitał nieoczekiwanego gościa szerokim uśmiechem. Usadowił porucznika w wygodnym fotelu i nim tamten zdołał powiedzieć, z czym przychodzi, stała przed nim filiżanka aromatycznej, świeżo parzonej kawy. Gospodarz usiadł naprzeciwko i usłużnie podsunął oficerowi cukiernicę.

— Jak tam pańskie śledztwo? — zagadnął.

— Pomalutku zbliża się ku końcowi.

— Kiedy zabójca zasiądzie na ławie oskarżonych?

— To zależy, jak prędko prokurator upora się ze wszystkimi formalnościami... A propos! — Mazurek niewinnym ruchem wyciągnął z kieszeni fotografię przedstawiającą trzech młodych ludzi na tle samochodu. — Dlaczego nie powiedział mi pan, że pański syn przyjaźnił się z Paponiem i Walenikiem?

— Przecież pan o to nie pytał — gospodarz niedbale rzucił okiem na zdjęcie. — Zresztą „przyjaźń” nie jest chyba najwłaściwszym określeniem dla ich znajomości. Tamci dwaj nawet nie bywali u nas w domu. A w ogóle jaki to wszystko mogłoby mieć związek ze smutnym skądinąd faktem, że przed paroma dniami Papoń zabił Walenika?

— Gdyby żaden związek faktycznie nie istniał, stanąłby pan twarzą w twarz z Paponiem podczas okazywania, a nie chował się za lustrem fenickim.

— Już panu mówiłem, że obawiałem się zemsty chuliganów.

— A może raczej nie chciał pan, by i Papoń pana rozpoznał?

— Cóż to za absurdałne przypuszczenie!

— Pański syn zginął w wypadku samochodowym. Dziwnym zbiegiem okoliczności w rok później dwaj pozostali uczestnicy tego wypadku zapalali aż taką nienawiścią ku sobie, że jeden z nich przyplącił to życiem.

Widać przypadki jednak się zdarzają.

— Doprawdy? — porucznik sięgnął po plastikowe pudełko z zabranym z komendy nożem. — Widzi pan, znaleźliśmy narzędzie, którym zabito Walenika.

— Gdzie?

— Skorzystałem z pańskiej rady i wybrałem się w miejsce uczęszczane ostatnio przez Paponia. Zabójca podrzucił nóż na działce, na której swego czasu bywał zapewne i pański syn.

— Chciał pan powiedzieć, że Papoń schował tam nóż albo po prostu zgubił...

— Myli się pan. Nóż został właśnie podrzucony.

— Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem.

— Przypuśćmy, że to było tak — głos oficera zabrzmiał cicho, niemal konfidencjonalnie. — Zabójca miał powód, by nienawidzić zarówno Paponia, jak i Walenika. Trudno przewidzieć, czy w zwykłych okolicznościach nienawiść ta popchnęłaby zabójcę aż do zbrodni, traf jednak chciał, że w nocy z poniedziałku na wtorek zobaczył ich obu okładających się pięściami przed jedną z żoliborskich melin. Walenik wyciągnął nóż, Papoń wytrącił mu go pałką. Nóż upadł może na chodnik, może na trawnik, a może na jezdnię. W każdym razie zabójca dobrze zapamiętał, gdzie... J chyba właśnie ten moment przesądził o dalszym biegu wypadków.

Walenik chwilowo był górą i zmusił Paponia do uciezki. Borowicz lubi wydzwaniać w różnych sprawach do komendy. Nietrudno więc było go sprowokować, by i tym razem pobiegł do najbliższego telefonu. Zabójca wrócił pod melinę Królewicza i podniósł nóż. Walenik był sam. Jeśli nawet spostrzegł zabójcę, przez myśl mu nic przeszło, by z jego strony mogło grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Odwrócił się plecami, a sekundę później już nic żył.

— Po co mi pan to opowiada? — wychrypiał Rupućko.

— Podczas naszego poprzedniego spotkania wspomniał pan, że pański syn studiował prawo i bardzo interesował się kryminalistyką. Pewno z jego książek dowiedział się pan, że na podstawie mikroskopijnych śladów na ostrzu noża można ustalić grupę i inne cechy charakterystyczne krwi, co z dużą dozą prawdopodobieństwa pozwala zidentyfikować narzędzie zbrodni.

— I co z tego? ?

— To, że jako amator, a nie zawodowiec, zapomniał pan o odciskach palców.

— O niczym nie zapomniałem! — zaperzył się gospodarz. — Dokładnie wytarłem rękojeść... O Boże! — z nagłą rozpaczą chwycił się za głowę. — Przecież pan...

— Blefowałem — przyznał oficer. — Zastosowałem szkolny chwyt, a pan dał się złapać. Na nożu faktycznie nie było żadnych odcisków palców.

— Teraz wypuści pan Paponia?

— Wypuszczę.



— Mimo że jest odpowiedzialny za śmierć mego syna?! — w oczach Rupućki pojawiły się złe błyski.

— Śledztwo w tamtej sprawie zostało umorzone.

— Jacek był taki dobry, taki zdolny, taki prawy! Dobrze się uczył, nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów — gospodarz nawet nie zwrócił uwagi na słowa Mazurka. Na jego policzkach pojawiły się chorobliwe wypieki. Teraz już nie mówił, a krzyczał, z nie tłumioną wściekłością wymachując pięściami. — Dopiero kiedy poznał Paponia i Walenika, zaczęły się pijackie libacje, dziwki i rozróby! Wciągnęli go nawet w kradzież samochodu i namówili na jazdę po pijanemu. Któryś z tych drani spowodował wypadek, a potem wszystko zwalili na Jacka!!!

— Ustalono, że w chwili wypadku za kierownicą tamtego wozu siedział pański syn.

— Bzdura! Nigdy w to nie uwierzę. Ta wasza sprawiedliwość jest ślepa!!!

— Jak kiedy — westchnął porucznik. — W każdym razie nie pana powołano, by mierzyć cudze winy i ferować wyroki.

— Za śmierć trzeba odpłacić śmiercią!! — Rupućko konwulsyjnie ścisnął dłońmi poręczę fotela. — Jacek nie żyje, więc i dla tamtych nie było miejsca na tym świecie! Musiałem wykonać swój wyrok na Waleniku! Musiałem!!!

— Niezależnie od pobudek dokonał pan zwykłego zabójstwa i próbował wysłać na szubienicę niewinnego człowieka. Im prędzej pan to zrozumie, tym lepiej. A wyrok w pańskiej sprawie zapadnie przed sądem,